

Jack London

OPOWIADANIA

Spis treści

Cień i błysk.....	3
Li-Wan o jasnej skórze.....	15
Wróg świata.....	29

Cień i błysk

Dzisiaj, patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, jak niebezpieczna to była przyjaźń. Lloyd Inwood, wysoki, smukły, o wykwitnie rzeźbionej twarzy, nerwowy i ciemny. Zaś Paul Tichlorne równie wysoki, smukły, ładny, nerwowy — i jasny. Jeden był odbiciem drugiego w wszystkim, prócz kolorytu. Lloyd miał oczy czarne, Paul niebieskie. W chwili podniecenia twarz bruneta barwiła się śniado-żółtawym rumieńcem, twarz blondyna — różowym. Lecz poza kwestią kolorytu — identyczni byli niby dwa ziarenka grochu. Obaj posiadali wybitną inteligencję, wielki temperament, zawziętość życiową, ogromną wytrwałość w czynach i zdolność skupiania wszystkich sił dla osiągnięcia zamierzonego celu.

W więzy owej wyjątkowej przyjaźni zaplątał się również ktoś trzeci: krótki, gruby, krępy i leniwy. Niestety, tym trzecim byłem ja. Paul i Lloyd zdawali się być stworzeni do ciągłej rywalizacji, ja zaś do występowania zawsze z różdżką oliwną pokoju. Wszyscy trzej wzrastaliśmy razem i nieraz na moje plecy spadały ciosy, które jeden z przyjaciół przeznaczał dla drugiego. Tamci dwaj nieustannie współzawodniczyli, ciągle walczyli o pierwszeństwo i w walce tej nie znali granic pragnień ani namiętności.

Ów zawzięty duch rywalizacji panował zarówno w naukach, jak w zabawach. Jeśli Paul pamiętał dwie strofki jakiegoś słynnego poematu, Lloyd zjawiał się natychmiast z trzema, po czym Paul uczył się czterech, aż wreszcie obaj umieli całość. Pamiętam pewien incydent, który miał miejsce podczas pływania — incydent tragicznie znamienny dla walki całego ich życia. Chłopcy zabawiali się wesoło: nurkowali na dno jeziora dziesięciostopowej głębokości i chwytali za korzenie wodorostów, zakładając się, kto dłużej wytrzyma pod wodą. Paul i Lloyd uparli się, że dadzą nurka razem. Kiedym ujrzał ich twarze, zacięte i zdecydowane, znikające szybko pod wodą — poczułem, że stanie się coś strasznego. Chwile mijały, fale uspokoiły się na wodzie, jezioro leżało gładkie i niezmacone, lecz ani czarna, ani jasna głowa nie wychylały się, żeby zaczerpnąć powietrza. My wszyscy, stojący na brzegu, zaczęliśmy się niepokoić. Najdłuższy rekord najwytrzymalszego chłopca został dawno pobity — lecz spod wody nie dochodził żaden ślad życia. Pęcherzyki powietrza bulgotały miarowo, wydostając się na powierzchnię i dawały znać, że płuca nurków pracują jeszcze. Po chwili ustały nawet sygnały pęcherzyków. Każda sekunda stała się nieznośnie długa. Nie mogłem dłużej wytrzymać napięcia. Sam dałem nurka.

Znalazłem obu chłopców na dnie, wczepionych kurczowo w wodorosty. Głowy trzymali w odległości kilku cali jedna od drugiej, oczy mieli szeroko rozwarte i wpatrzone przenikliwie w oczy przeciwnika. Cierpieli nieznośnie, wijąc się w męce dobrowolnego duszenia, żaden jednak nie chciał wypłynąć pierwszy i uznać się za pobitego. Spróbowałem oderwać rękę Paula od wodorostów, ale opierał się rozpaczliwie. Poczułem, że się duszę i wypłynąłem na powierzchnię, mocno podrapany. Szybko wytłumaczyłem kolegom, o co chodzi. Sześciu nas dało nurka i wreszcie przemocą wyciągnęliśmy zajadłych przeciwników. Byli już jednak

nieprzytomni i dopiero po długim stosowaniu sztucznego oddychania, bicia i kołysania udało nam się przywołać ich do życia. Byliby utonęli, gdyby nikt nie przybył na pomoc.

Kiedy Paul Tichlorne wstąpił na uniwersytet, mówiono ogólnie, że ma zamiar studiować nauki społeczne. Llyod Inwood, zapisując się jednocześnie, wybrał tenże fakultet. Paul jednakże w tajemnicy przed wszystkimi nosił się z zamiarem studiowania nauk przyrodniczych, zwłaszcza zaś chemii. Toteż w ostatniej chwili przerzucił się niespodziewanie. Wobec tego Lloyd, chociaż już zorganizował sobie plan nauk i zaczął uczęszczać na wykłady — nagie poszedł w ślad za Paulem i zapisał się na przyrodę, ze szczególnym uwzględnieniem chemii. Rywalizację dwóch nowo przybyłych zauważyli wkrótce wszyscy koledzy. Jeden stanowił ostrogę dla drugiego. Zapuścili się w tajniki chemii głębiej niż którykolwiek z kolegów, tak głęboko, że zanim doczekali się tradycyjnej uroczystości „skoku przez skórę”, zagnać już mogli w kozi róg niejednego z dawnych chemików, nie wyłączając znanego wśród kolegów specjalisty, „starego” Mossa. Wreszcie prace Lloyda nad „bakteriami śmierci” znajdującymi się w ciele żaby morskiej oraz doświadczenia robione nad tymi bakteriami przy pomocy cyjanku potasu, przyniosły sławę zarówno badaczowi, jak całej uczelni. Paul jednak nie pozostał ani o krok w tyle, zdołał bowiem wyprodukować laboratoryjnie pewne koloidy, wydzielane dotychczas jedynie przez ameby. Poza tym, otworzył nowe możliwości produkowania nawozów sztucznych, przez swe znakomite doświadczenia z wpływem roztworów chloranów sodu i magnezu na najniższe formy fauny morskiej.

W czasie najgłębszego pogrążenia się w chemii, w okresie walki o stopień naukowy — w życie obu kolegów weszła nagle panna Doris Van Benschoten. Lloyd spotkał ją pierwszy, ale w przeciągu dwudziestu czterech godzin Paul postarał się również o zawarcie tej znajomości. Rzecz prosta, zakochali się od razu i panna Doris stała się jedyną treścią życia, jedynym celem, dla którego warto żyć. Otaczali ją swym uwielbieniem z jednaką namiętnością i oddaniem, i tak intensywna stała się ich walka o tę kobietę, że cały uniwersytet zainteresował się jej przebiegiem' i czynił nawet zakłady. Nawet „stary” Moss po jakimś wspaniałym pokazie naukowym w prywatnej pracowni Paula założył się o całomiesięczny zarobek, że prędzej czy później zostanie z ramienia Paula družbą panny Doris Van Benschoten.

Wreszcie panna rozstrzygnęła zagadnienie po swojemu, ku zadowoleniu wszystkich, prócz Paula i Lloyda. Zawezwała ich obu razem i oświadczyła, że wybrać pomiędzy nimi nie może, bo obaj są jej równie mili, ponieważ zaś, niestety, wielomęstwo nie jest w Stanach Zjednoczonych dozwolone, przeto zmuszona jest wyrzec się zaszczytu i szczęścia poślubienia jednego z nich.

Odtąd jeden oskarżał drugiego o swe niepowodzenie, wobec czego gorzycz, dzieląca ich, zgorzkniała jeszcze mocniej.

Sprawy szły szybko do kulminacyjnego punktu. Obaj młodzieńcy posiadali już stopnie naukowe i z murów uczelni wyszli w świat.

W moim to właśnie domu zaczął się dnia pewnego początek końca. Obaj rywale byli ludźmi zamożnymi i nie mieli ani ochoty, ani konieczności pracy zarobkowej. Przyjaźń ze mną a zarazem wzajemna animozja wiązały ich jednak w pewien węzeł nierozzerwalny.

Obaj odwiedzali mnie często, starali się jednak nie spotykać. Pomimo to spotkanie było prędzej czy później nieuniknione.

Pewnego dnia podczas mego urlopu Paul Tichlorne przesiedział cały dzień w moim gabinecie, wertując jakiś tygodnik naukowy. Czułem się zwolniony od bawienia gościa i w ogródku zająłem się ulubionymi różami, gdy nagle zawitał Lloyd Inwood. Przybijałem właśnie pnące gałązki do ścian domu. Stałem na drabince, usta mając pełne gwoździ i młoteczek w ręku. Lloyd stał przy mnie i coraz to w czymś dopomagał. W tej sytuacji związała się pomiędzy nami rozmowa na temat mitów o ludziach niewidzialnych, dziwacznych, wędrownych zjawach, o których podania i przesady przechowały się aż po dzień dzisiejszy. Lloyd zapalił się do tematu po swojemu, nerwowo a porywczo i po chwili przerzucił do rozważania fizycznych możliwości takiego zjawiska jak niewidzialność. Przedmiot idealnie czarny — twierdził — powinien teoretycznie oprzeć się najostrzejszemu nawet wzrokowi ludzkiemu.

— Barwa jest wrażeniem — mówił — nie jest rzeczywistością obiektywną. Bez światła nie możemy widzieć ani barw, ani samych przedmiotów. Wszystkie przedmioty są w ciemności czarne i wtedy ich nie dostrzegamy. Jeśli nie padnie na nie żaden promień światła — żaden też nie zostanie odbity od nich ku oczom ludzkim i nie osiągniemy wtedy żadnego wrażenia wzrokowego.

— Ale przy świetle dziennym czarne przedmioty widzimy — odparłem.

— Bardzo słusznie — zapalał się Lloyd — ale dlatego tylko, że nie są idealnie czarne. Gdyby były idealnie, najidealniej czarne, nie moglibyśmy ich dostrzec nawet przy świetle stu słońc! Toteż, powiadam, przy pomocy odpowiednich barwników, właściwie zastosowanych, można by osiągnąć idealną czerń, która czyniłaby niewidzialnym każdy przedmiot nią pomalowany.

— Byłoby to nadzwyczajne odkrycie — odrzekłem dość sceptycznym tonem, cały bowiem pomysł wydał mi się tak fantastyczny, że wart był jedynie teoretycznych rozważań.

— Nadzwyczajne! — Lloyd trzepnął mnie po ramieniu. — No myślę! Cóż, mój stary, jeśli okryję się takim czarnym płaszczykiem — cały świat mam u stóp! Moje stają się tajemnice królów i dworów, zamysły polityków i dyplomatów, machinacje giełdjarzy, plany przemysłowców. Mógłbym trzymać rękę na tajnym pulsie wszystkich spraw i stać się największą potęgą świata. Mógłbym też — tu urwał nagle, po czym dodał spokojniej: Rozpocząłem już doświadczenia na ten temat i nie mogę się skarżyć, żeby szły mi kiepsko.

Nagle tuż przy nas zabrzmiał głośny śmiech. W drzwiach stał Paul Tichlorne, uśmiechając się drwiąco.

— Zapominasz, kochany Lloydzie... — zaczął.

— O czymże to zapominam?

— Zapominasz — ciągnął Paul — ach, po prostu o takim drobiazgu jak... cień.

Twarz Lloyda pociemniała, ale odparł sucho: — Mogę nosić parasol, mój złoty. — Potem nagle z dziką wściekłością rzucił się ku rywalowi. — Posłuchaj! Masz się trzymać z daleka od tego interesu — rozumiane? — Jeśli ci życie miłe!

Awantura zdawała się być nieunikniona, Paul jednak roześmiał się dobrodusznie. — Nie mam zamiaru dotykać nawet jednym palcem twoich brudnych barwników. Gdybyś nawet osiągnął szczyt swoich marzeń, potkniesz się zawsze i przewrócisz — o cień. Od cienia nie uciekniesz, bratku. Co do mnie, to wybieram się po wręcz przeciwnej ścieżce. W samym założeniu mego pomysłu cień jest wykluczony.

— Przezroczyści — wykrzyknął nagle Lloyd. — Ależ to jest nieosiągalne.

— Tak, ma się rozumieć, zupełnie nieosiągalne. Paul wzruszył ramionami i oddalać się począł z wolną różaną alejką ogrodu.

To był początek. Obaj zaatakowali odtąd swoje zagadnienia z całą burzą namiętności, do jakiej byli zdolni, i z goryczą zawiści i gniewu. Drżałem teraz o nich obu. Każdy wtajemniczał mnie w swoje prace i podczas długich miesięcy badań spełniać musiałem obowiązki powiernika stron obu, asystując przy doświadczeniach i słuchając teoretycznych wywodów. Nigdy, rzecz prosta, ani słowem nie zdradziłem przed jednym postępów drugiego, toteż obaj szanowali mnie za lojalność i umiejętność milczenia. Lloyd Inwood wobec uciążliwej i wyczerpującej pracy, nie mogąc znieść ciągłego napięcia wszystkich władz umysłowych — znalazł sobie na odpoczynek rozrywkę dość dziwaczną: począł uczyć się na walki atletów. Na jednym z owych brutalnych widowisk, na które zaciągnął mnie, żeby podzielić się zdobyczami ostatnich doświadczeń — teoria jego otrzymała niespodziewaną a dosadną ilustrację.

— Czy widzisz tego rudobrodego jegomościa — zapytał Lloyd, wskazując poprzez arenę na piąty rząd krzeseł po drugiej stronie. — Powiedz mi też, czy widzisz tego drugiego pana, w białym kapeluszu? Cóż, pomiędzy nimi jest jedno puste miejsce, prawda?

— Tak, nie siedzą obok siebie — odrzekłem.

Krzesło pomiędzy nimi jest nie zajęte.

Lloyd przechylił się ku mnie i wyrzekł z naciskiem:

— Nie. Pomiedzy rudobrodym a panem w kapeluszu siedzi Ben Wasson. Mówiłem ci kiedyś o nim. Jest najlepszym atletą średniej wagi w całym kraju. Jest też Murzynem czystej krwi, najczarniejszym z popularnych Murzynów Stanów Zjednoczonych. Ma na sobie czarny płaszcz zapięty pod szyję. Widziałem, jak wchodził i zajmował to miejsce. Jak tylko usiadł — miałem wrażenie, że zniknął. Patrz uważnie, może się uśmiechnie.

Miałem ochotę przejść się ku tamtym rzędom, żeby sprawdzić słowa Lloyda, ale mnie powstrzymał. — Poczekaj — prosił.

Czekałem więc i patrzyłem. Po pewnej chwili rudobrody jegomość zwrócił się ku pozornie nie zajętemu krzesłu i zaczął coś mówić; wtedy, w owej pustej przestrzeni dostrzegłem powolny obrót dwóch krągłych białek ocznych i dwa białe rzędy zębów. Wtedy przez krótką chwilę zobaczyłem całą twarz, a może tylko zdawało mi się, że widzę. Lecz gdy uśmiech zniknął, twarz stała się znowu niewidzialna i fotel wydał się pusty.

— Gdyby Ben Wasson był idealnie czarny, mógłbyś siedzieć obok i nie widzieć go — powiedział Lloyd. Wyznaję, że dzięki temu przykładowi zostałem nieomal przekonany o słuszności założenia mego przyjaciela. Od tego czasu odwiedzałem często laboratorium Lloyda i znajdowałem go zawsze pogrążonego w poszukiwaniach owej wymarzonej absolutnej czerni. Doświadczenia Jego polegały na wytwarzaniu całej gamy czarnych barwników: zwęglonych substancji zwierzęcych lub roślinnych, dziegciów, tłuszczów, smarów i kopciów.

— Białe światło — mówił — składa się z siedmiu kolorów zasadniczych. Lecz samo w sobie jako takie jest niewidzialna. Dopiero odbite od przedmiotów staje się widzialne — zarówno jak i te przedmioty. Widzialną jednak staje się tylko ta jego część, która została odbita od przedmiotu. Oto na przykład niebieskie pudełko od tytoniu. Białe światło pada nań i wszystkie jego składniki — oprócz jednego — zostają zabsorbowane. Są nimi: fioletowy, Indygo, zielony, żółty, pomarańczowy i czerwony. Tym jednym składnikiem odbitym jest niebieski. Nie zostaje on pochłonięty, lecz zostaje odbity. Dlatego też pudełko do tytoniu daje nam wrażenie barwy niebieskiej. Innych barw nie widzimy, bo zostały zabsorbowane. Widzimy tylko niebieską. Dla tej samej przyczyny trawa wydaje nam się zielona. Zielone fale białego światła rzucone zostają ku naszym oczom.

— Jeśli malujemy sobie domek — mówił Innym razem — bynajmniej nie używamy do malowania kolorów. Używamy po prostu pewnych substancji, które mają własność absorbowania z białego światła wszystkich barw, prócz tej, która; posiadać ma nasz dom. Jeżeli substancja odbija wszystkie barwy, wydaje nam się biała. Jeżeli wszystkie absorbuje, jest czarna. Lecz, jakem rzekł, nie posiadamy dotychczas czerni absolutnej. Wszystkie fale nie zostają pochłonięte. Idealna czerń, byle ubezpieczona od bardzo wysokich oświeśleń, będzie zupełnie i absolutnie niewidzialna. Spójrz na przykład tutaj:

Wskazał paletę leżącą na stole. Barwiły ją rozmaite odcienie czerni. Jedną w szczególności dostrzec było trudno. Miałem wrażenie, że ćmi mi się w oczach, przetarłem powieki i patrzyłem znowu.

— Oto właśnie — mówił z przejęciem chemik — jest najczarniejsza czerń, jaką oglądałeś kiedykolwiek i jaką w ogóle oko ludzkie widziało. Poczekaj — wkrótce wytworzę taką na jaką oko ludzkie spoglądać nie będzie mogło, a przez to samo nie będzie mogło jej widzieć!

Tymczasem Paul Tichlorne pogrążony był równie głęboko w studia nad polaryzacją i rozproszeniem światła, nad interferencją i skupianiem promieni oraz nad pewnymi właściwościami całego szeregu związków organicznych.

— Przezroczystość jest stanem lub też własnością ciała, która pozwala na przechodzenie przezeń wszystkich promieni światła — tłumaczył. — Tego właśnie poszukuję. Lloyd potknął się zawsze o cień w swoich badaniach nad idealną absorpcją. Ja tego uniknę. Ciało przezroczyste nie rzuca cienia wcale. Nie odbija też fal świetlnych, jeśli istotnie jest idealnie przezroczyste. Toteż, z wyjątkiem bardzo mocnych oświetleń, ciało takie nie tylko nie rzuci cienia, ale, nie odbijając promieni, stanie się niewidzialne.

Któregoś dnia staliśmy przy oknie. Paul zajęty był polerowaniem mnóstwa szkiełek ustawionych na podstawce. Nagle w czasie przerwy w rozmowie zawołał: — O, rzuciłem niechcący szkiełko! Wyrzyj no przez okno, mój stary, czy nie zobaczysz, gdzie upadło!

Czym prędzej wysunąłem głowę przez otwarte okno i nagle oszłomił mnie mocny cios. Tarłem więc czoło i spoglądałem ze zdziwieniem i wyrzutem na Paula, który zaśmiewał się, jak sztubak po splątaniu figla.

— A więc? — powiedział.

— A więc? — powtórzyłem jak echo.

— Dlaczego nie zbadaleś terenu?

Wobec tego rozpocząłem badania. Zanim wytknąłem głowę, zmysły moje, działając automatycznie, stwierdziły, że żadna przeszkoda nie istnieje, że nic nie dzieli mojej głowy od zewnętrznego świata, gdyż rama otworzonego okna jest najzupełniej pusta. Teraz jednak wyciągnąłem rękę i poczułem twardy przedmiot, gładki, zimny i płaski; doświadczenie mego dotyku rozpoznało szkło. Spojrzałem znowu, lecz absolutnie nic nie mogłem dostrzec.

— Biały piasek kwarcowy — śmiał się Paul — węglan sodu, nadtlenek manganu i wapno gaszone — oto masz najlepsze szkiełko francuskie z huty St. Gobain wytwarzającej najpiękniejsze na świecie tafle szklane. Pochlebiam zaś sobie, że to jest właśnie najpiękniejsza tafla. Kosztuje bająnskie sumy. Ale spójrz na nią! Nie sposób jej dostrzec. Nie wiesz nic o jej istnieniu, dopóki jej nie dotkniesz.

— Tak, mój stary! Oto masz lekcję pogładową. Pewne składniki same przez się nieprzezroczyste, w zestawieniu posiadają jednak własność wytwarzania ciał przezroczystych. To dziedzina chemii nieorganicznej — powiesz. Bardzo słusznie. Ośmielam się jednak twierdzić, że na terenie chemii organicznej osiągnąć można pod tym względem stokroć lepsze rezultaty.

— Patrz! — podsunął mi pod oczy probówkę napełnioną jakimś mętnym płynem. Dolał doń zawartość drugiej probówki. Pierwszy płyn stał się natychmiast przezroczysty i iskrzący.

— Albo to! — Kilkoma szybkimi, nerwowymi ruchami pośród baterii probówek zmienił barwę białego płynu na kolor wina, jasnożółty zaś roztwór na ciemnobrunatny. Po czym papierek lakmusowy zanurzył do kwasu, barwiąc go na czerwono, i zaraz potem rzucił do zasady — barwiąc na niebiesko.

— A przecież papierek lakmusowy pozostał lakmusowym papierkiem — oświadczył mi tonem wykładowcy. — Nie zmieniłem go na nic innego. Cóż więc uczyniłem? Zmieniłem układ jego cząsteczek. Najpierw były one ułożone w ten sposób, że posiadały własność pochłaniania wszystkich promieni prócz czerwonych. Później zaś cząsteczki znalazły się w takim układzie, że absorbowały wszystkie promienie prócz niebieskich. I tak w nieskończoność. Otóż zamiary moje są następujące: tu przerwał na chwilę. — Zamierzam szukać i znaleźć odpowiednie czynniki, które działając na organizmy żywe powodowałyby w nich podobną zmianę układu cząsteczek jak ta, którą widzieliśmy przed chwilą. Czynniki te jednak, których poszukuję i na których tropie już właściwie jestem, nie będą nadawały organizmowi żywemu barwy czerwonej, niebieskiej lub czarnej. Nie! One mu nadadzą — przezroczystość. Nadadzą mu właściwość przepuszczania wszystkich promieni. Wtedy ciało stanie się niewidzialne. I — nie rzuci cienia.

W kilka tygodni potem wybrałem się z Pauliem na polowanie, obiecał mi bowiem, że będzie polował z cudownym psem: „najbardziej cudownym psem, z jakim kiedykolwiek polował człowiek”. Tak długo mnie o tym upewniał, aż wzbudził moją ciekawość. Danego ranka czułem się jednak mocno zawiedziony, ponieważ wyruszyliśmy bez psa.

— Musiał gdzieś odbiec, jakoś go nie widać — zauważył niepewnie Paul i ruszyliśmy w pole.

Nie wiem sam, co mi dolegało, czułem się jednak bardzo źle, dziwnie i nieznośnie źle. Nerwy miałem rozstrojone i rozstrój ten przenosił się teraz na zmysły. Zmysły bowiem zaczęły mi płać nader nieprzyjemne figle. Słyszałem dziwne dźwięki, to szelest traw, to jakby człapanie nóg po ścieżce.

— Czy ty nic nie słyszysz, Paul? — zapytałem wreszcie. Zaprzeczył ruchem głowy i uparcie szedł naprzód. Podczas przechodzenia przez jakiś płot usłyszałem wyraźnie pisk psa w odległości kilku kroków ode mnie. Obejrzałem się, lecz nie dostrzegłem nic.

Usiadłem na ziemi, drżąc ze zdenerwowania.

— Słuchaj no, Paul, wróćmy lepiej do domu — wyrzekłem. — Mam wrażenie, że jestem poważnie chory.

— Nonsens, stary — odparł. — To pewnie słońce przepaliło ci głowę. Zaraz przejdzie. Pogoda jest tak piękna.

Lecz na wąskiej ścieżce między krzakami bawełny jakiś twardy przedmiot uderzył mnie nagle w nogi. Potknąłem się i omal nie upadłem. Z nagłym niepokojem spojrzałem na Paula.

— O co chodzi? — zapytał. — Potknąłeś się o własną nogę co? — Wobec tego wolałem już trzymać język za zębami. Wlokłem się cierpliwie, chociaż byłem już najzupełniej pewny, że jakaś tajemnicza a dotkliwa choroba zaatakowało moje nerwy. Dotychczas ocalały jeszcze oczy. Kiedy iednak wyszliśmy znowu na otwartą przestrzeń, nawet zmysł wzroku zwrócił się przeciwko mnie. Dziwne błyski różnokolorowego, tęczowego światła zaczęły pojawiać się i znikać przede mną na ścieżce. Wciąż jeszcze starałem się panować nad sobą. Kiedy jednak tęczowe błyski pojawiły się na dobra, dwadzieścia sekund nieustannie tańcząc rn! przed oczyma, usiadłem, osłabiony ! wstrząśnie — Coś kiepsko ze mną — mruknąłem, zasłaniając oczy rękoma. — Już mi padło na wzrok. Paul, odprowadź mnie do domu.

Na to Paul roześmiał się głośno i szczerze. — A co, nie mówiłem? Najbardziej cudowny spośród psów? Może nie? Jak uważasz?

Odwrócił się i zagwizdał. Posłyszałem człapanie, przyśpieszony oddech zziąjanego zwierzęcia niewątpliwe psie naszczekiwanie. Wtedy Paul nachylił się i przemówił do... najwyraźniej do powietrza.

— No, daj łapę!

Po czym położył moją rękę na zimny psi nos i na gładką psią mordę. Tak, był to niewątpliwie pies, o krótkiej i miękkiej sierści pointera.

Bądź co bądź zmysły moje ozdrowiały natychmiast. Paul włożył obrozę na szyję wyżła i przywiązał mu chustkę do ogona. Wtedy to dane nam było ujrzeć wspaniałe widowisko. Pusta obroza sunęła ponad polem, zaś tuż za nią powiewała biała chusteczka. Kapitalnie wyglądało, jak owa chustka „robiła stójkę” przed kępą krzaków i pozostawała nieruchoma i napięta, dopóki nie strzeliliśmy do ptaka.

Wokoło psa unosiły się nieustanne nikłe tęczowe błyski, o których już wspomniałem. Jest to jedyny objaw — tłumaczył mi Paul — którego nie przewidział w założeniu i który prawdopodobnie nie da się w praktyce przewyciężyć.

— To cała wielka rodzina — mówił — tęcze, złudne słońca, aureole, zorze i parheliony. Tworzą się przez rozszczepienie światła przy odbiciu od kryształków lodu, od minerałów, od mgły, deszczu, piany i wielu innych ciał. Obawiam się, że to jest właśnie haracz, który zapłacić muszę za przezroczyłość. Uniknąłem ciena — potknąłem się o błysk.

W kilka dni potem, wchodząc do pracowni Paula, poczułem odrażającą woń. Była tak silna, że bez trudu odnalazłem jej źródło: masę gnijącej materii organicznej, leżącej u progu i w ogólnych zarysach przypominającej ciało psa.

Paul ze zdumieniem badał odkryty przeze mnie przedmiot. Był to jego niewidzialny pies, a raczej pies ongiś niewidzialny, obecnie bowiem rozkładającą się masę widać było doskonale. Podobno przed półgodziną biegał i bawił się, zdrowy i wesoły. Bliższa obserwacja wykazała, Ż9 czaszka przy skroni zdruzgotana została jakimś mocnym ciosem. Sam fakt nagłej śmierci psa był dostatecznie dziwny, lecz jeszcze bardziej niepojęty był natychmiastowy rozkład ciała.

— Czynniki, które mu zastrzykiwałem, były zupełnie nie szkodliwe — tłumaczył Paul. — Musiały być jednak potężne w działaniu i, jak się teraz okazuje, posiadały własność powodowania natychmiastowego rozkładu organizmu w razie jego śmierci. Zdumiewające! Ciekawe! Cóż -pozostaje tylko: strzec się śmierci. Przewidywalność nie szkodzi ciału żywemu. Nie rozumiem tylko, kto rozbił psu głowę?!

Pytanie nie pozostało bez odpowiedzi, gdyż wkrótce służąca przybiegła z nowiną, że łowczy Gaffer Bedshaw dostał napadu ostrego szaleństwa, dziś właśnie, godzinę temu. Powalono go i związano natychmiast w jego izdebce, gdzie leży teraz i bredzi o walce z jakimś strasznym potworem napotkanym na łąkach pana Tichlorne'a. Wariat przysięga, że potwór był niewidzialny. Żona i córka oblewają łzami biedaka, ale on zacina się jeszcze bardziej i twierdzi, że na własne oczy widział, iż potwór był niewidzialny. Wobec tego furman i ogrodnik związali go jeszcze mocniej.

Podczas gdy Paul Tichlorne z takim powodzeniem opanowywał problemat niewidzialności, Lloyd Inwood pozostał nieco w tyle. Zaprosił mnie listownie, żebym obejrzał postępy jego prac, poszedłem więc niezwłocznie. Domek, w którym mieściła się pracownia, stał samotnie na obszernych terenach majątku, na ślicznej małej polance, pośród młodego gaiku. Szło się tam wijącą i dość błędną dróżką. Ja jednak przemierzałem tę ścieżkę tyle razy, że znałem każdy jej cal. Jakież więc było moje zdumienie, kiedy wyszedłszy na polankę nie zastałem domku! Estetyczny budynek, uwieńczony czerwonym kominem — przestał istnieć i raczej polanka wyglądała tak, jakby nie istniał był nigdy. Żadnych ruin, żadnych gruzów — nic.

Poszedłem tak, jakbym szedł wzdłuż boku domku. — „O — rzekłem sam do siebie — tutaj powinny być schodki i drzwi”. Zanim zdążyłem to wymówić, potknąłem się o jakąś przeszkodę, pochyliłem się gwałtownie naprzód i uderzyłem głową o coś twardego, co odczułem właśnie jako drzwi. Wyciągnąłem rękę. Tak, to Istotnie były drzwi. Znalazłem klamkę, nacisnąłem. I jak tylko drzwi skrzypnęły lekko na zawiasach — całe wnętrze pracowni narzuciło się moim oczom. Przywitawszy Lloyda, raz jeszcze wyszedłem na ścieżkę, zamykając za sobą drzwi. I znowu budynek zniknął mi z oczu. Z chwilą gdy znowu otworzyłem drzwi — całe wnętrze stało przede mną widzialne i zwykłe.

Głęboko zdumiewające były nagle przejścia od pustki do barwy i kształtu.

— Cóż powiesz na to, he? — zagadnął Lloyd, ściskając moją rękę. — Onegdaj pociągnąłem ściany paroma warstwami absolutnej czerni, żeby się przekonać, jak wygląda. No, jakże twoja głowa? Musiałeś się dobrze trzepnąć, wyobrażam sobie.

— To drobiazg — przerwał tok moich powinszowań. — Mam dla ciebie coś lepszego do roboty.

To mówiąc, zaczął się rozbierać, kiedy zaś stanął przede mną zupełnie nogi, wcisnął mi w rękę spory garnczek i miękką szcztokę.

— Dalej, smaruj mnie tymi — zawołał.

Był to oleisty płyn podobny do szelaku, który rozsmarowywał się po skórze szybko i łatwo, zasychając natychmiast.

— To dopiero wstępne „zagruntowanie”, tak dla ostrożności — wyjaśnił, kiedy skończyłem. — A teraz weźmy się do tego preparatu, o który właśnie chodzi.

Wziąłem drugi garnczek, który mi wskazał, zajrzałem do środka, ale nie dostrzegłem nic.

— To naczynie jest puste — powiedziałem.

— Włóż palec do środka.

Usłuchałem i doznałem wrażenia chłodnej wilgoci. Wyciągnąłem palec. Spojrzałem nań: znikł. Poruszyłem nim i czułem ruch skurczu i rozkurcza własnych mięśni, lecz żadne wrażenie wzrokowe nie odpowiadało temu odczuciu. Wedle wszelkiej oczywistości pozbawiony zostałem palca. Wtedy dopiero stwierdziłem naocznie jego istnienie, kiedy wyciągnąłem go pod słońce i ujrzałem na podłodze pełny, zwykły cień palca.

Lloyd zachichotał.

— No, teraz smaruj i przypatruj się uważnie temu, co zajdzie. Zanurzyłem szczotkę do pustego na pozór naczynia i szeroką smugą przejechałem Lloydowi wzdłuż piersi. W ślad za ruchem szczotki żywe ciało znikало sprzed oczu. Pokryłem płynem prawą nogę mego przyjaciela — i oto stał już tylko na lewej, przecząc wszelkim prawom grawitacji. Tak, smugę po smudze, członek po członku przemałowałem Lloyda Inwooda w nieistnienie, w nicość. Było to nader rozwlekłe doświadczenie, toteż czułem się zadowolony, kiedy nic. Już nie pozostało prócz ognistych czarnych oczu, zawieszonych w przestrzeni i o nic jak gdyby nie wspartych,

— Dla oczu mam łagodniejszy, oczyszczony roztwór — powiedział Lloyd — jedno dotknięcie małej szczoteczki i koniec — nie ma mnie!

Po urzeczywistnieniu powyższego dodał: — No, teraz będę się poruszał, a ty mi mów, jakich doznajesz wrażeń!

— Przede wszystkim: nie widzę cię zupełnie — oświadczyłem, na co odpowiedział mi śmiech triumfalny spośród pustki. — Rzecz prosta, cienia nie uniknąłeś — mówiłem dalej — ale to było przewidziane. Kiedy stajesz pomiędzy mną a jakimś przedmiotem, przedmiot ten znika; znikanie to jest jednak tak niezwykle i niezrozumiałe, że wydaje się, jak gdyby oczy odmówiły nagle posłuszeństwa. Kiedy poruszasz się szybko, dziwność tego wrażenia wzrokowego wzrasta. Aż oczy boją od tego i mózg się męczy.

— Czy odczuwasz inne jeszcze jakieś wrażenia mojej obecności?

— I tak, i nie — odparłem. — Kiedy podchodzisz bardzo blisko, czuję to, co czuje się w pobliżu wilgotnej piwnicy, mrocznej krypty lub głębokiej kopalni. Tak, jak żeglarze czują majak lądu w najciemniejszą nawet noc, tak zdaje mi się, że czuję majak twego ciała. Ale bardzo to jest mgliste i nieuchwytnie.

Na drugi dzień rano gawędziliśmy długo w laboratorium, kiedy zaś miałem odejść, Lloyd uściskał mi rękę swoją ręką niewidzialną i wyrzekł z pustki: „Teraz zwyciężę świat!” Nie ośmieliłem się powiedzieć mu o równym powodzeniu prac Paula Tichlorne'a.

W domu znalazłem kartkę od Paula. Prosił, żebym przybył do niego niezwłocznie. Było już południe. Siadłem na rower i pojechałem. Głos Paula wołał mnie z placu tenisowego, więc zsiadłem z roweru i pobiegłem na plac. Ale plac był pusty. Kiedym tak stał, rozglądając się wokoło, piłka tenisowa palnęła mnie w ramię. Odwróciłem się szybko. Druga gwizdnęła koło ucha. Niewidzialny przeciwnik bombardował mnie nimi z przestrzeni. Kiedy jednak te same piłki powracać zaczęły po kilka razy — zrozumiałem sytuację. Chwyciłem raketę i uważnie wpatrzyłem się w przestrzeń. Tu i tam migwały tęczone błyski, ukazując się i znikając. Celowałem ku nim i kiedym w nie cisnął dobre pół tuzina mocnych piłek — głos Paula huknął z przestrzeni.

— Dosyć! Dosyć! O! Och! Przestań! Walisz mnie, uważasz, po nagiej skórze! O! O! Wystarczy, bracie! Chciałem tylko, żebyś podziwił moją metamorfozę — syczał przez zęby i pewien byłem, że rozciera potłuczone miejsca.

W parę minut potem zaczęliśmy grać w tenisa. Byłem w trudniejszej sytuacji, nie miałem bowiem pojęcia o każdorazowym położeniu przeciwnika, prócz tych chwil, kiedy tworzyły się odpowiednie kąty pomiędzy nim, mną i słońcem. Wtedy — i tylko wtedy — błyskał. Błyski te były bardziej jaskrawe niż tęcza: czystszy błękit, delikatniejszy fiolet mocniejsza żółć i wszystkie odcienie pośrednie. Całość miała połysk brylantu — oślepiający, roziskrzony, płomienny.

Nagle, pośród gry, poczułem jakby chłodny dreszcz, przypominający bliskość głębokich kopalń, ponurych krypt, wilgotnych dołów. Ten sam dreszcz czułem dzisiejszego ranka. Za chwilę dostrzegłem piłkę odbitą nieoczekiwanie spośród pustej przestrzeni. W tej samej chwili o kilkanaście stóp dalej Paul Tichlorne rzucił swój tęczone błysk. A więc nie on odbił mi piłkę! Z przerażeniem pojąłem, że to Lloyd Inwood pojawił się na placu. Chcąc się upewnić, poszukałem cienia. Taki Oto jest, oto jest bezkształtna plama spłaszczonego tułowia (słońce stało wysoko!) poruszająca się po korcie. Przypomniała mi się dawna groźba i pojąłem, że w tej godzinie lata zawziętej rywalizacji dojrzały do straszliwej, niesamowitej bitwy.

Ostrzegłem Paula okrzykiem. W odpowiedzi usłyszałem dwa różne, lecz równie dzikie głosy, podobne do ryku rozjuszonego zwierzęcia. Ujrzałem ciemną plamę cienia sunącą szybciej po placu, zaś na jej spotkanie mknął roziskrzony pęk kolorowych błysków. Potem błysk i cień spotkały się, zwały, szepiły. Rozległ się głuchy dźwięk niewidzialnych ciosów. Siatka runęła na ziemię tuż przed moimi przerażonymi oczyma. Skoczyłem ku walczącym, krzycząc:

— Na miłość boską!

Ich szczipione ciała podbiły mi nogi. Upadłem.

— Nie mieszaj się, stary! Trzymaj się z daleka! — posłyszałem głos Inwooda z pustki. A potem huknął Paul.

Po dźwięku głosów poznałem, że są rozdzieleni. Nie mogłem dostrzec błysku Paula, a tam oto zbliżał się cień Lloyd'a. Nagłą z przeciwnej strony niewidzialna ręka zadała mi mocny cios w szczękę i głos Paula zawołał:

— No! Będziesz się trzymał z daleka!?

Potem zwarli się znowu: burza ciosów, chrapliwy ryk, jęk, sapanie i szybkie błyski tęczyowych barw ponad bezkształtną plamą cienia. Wszystko świadczyło o śmiertelnej zawziętości walki.

Krzyknąłem o pomoc i Gaffer Bedshaw wpadł pędem na plac. Widziałem, że podchodząc obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem. Lecz w tejże chwili wpadł na walczących i rozciągnął się jak długi na korcie. Z rozpaczliwym wrzaskiem: — O Boże! To znowu on! — zerwał się na nogi i szalonym pędem umknął z placu.

Nie mogłem uczynić nic. Nie miałem żadnej rady na to, co się działo. Stałem więc na ziemi bezsilny i oszłomiony i przyglądałem się walce. Południowe słońce oślepiając jasnością obejmowało plac tenisowy. Pusty plac. Nie widać było nic prócz plamy cienia i tęczyowych błysków. Piasek tryskał spod niewidzialnych stóp, sprężone nogi ryły ziemię, druczany parkan napinał się i dźwięczał pod naporem ciał. To wszystko. Po pewnym czasie ustało nawet to. Błyski znikły, cień stał się wydłużony i mglisty. Wtedy przypomniał mi się zacięty wyraz dwóch chłopięcych twarzy przywartych do wodorostów w chłodnej głębi jeziora.

Znaleziono mnie na placu o jakiejś późnej godzinie. Służba Tichlorne'a zasłyszała coś mgliście o tym, co się działo i cała natychmiast uciekła z domu. Gaffer Bedshaw nie wyleczył się nigdy po drugim wstrząsie nerwowym, jakiego doznał. Zamknięto go w domu obłąkanych.

Tajemnica cudownego wynalazku pogrzebana została z chwilą śmierci Paula i Lloyd'a, albowiem obie pracownie zniszczone zostały przez „pograżonych w smutku” krewnych. Co do mnie, nie interesuję się już badaniami chemicznymi i tematy naukowe są tabu dla moich domowników. Zająłem się na nowo hodowlą róż. Barwy naturalne wystarczają mi w zupełności.

Li-Wan o jasnej skórze

Obniża się słońce, Canimie, upał dnia minął — zawołała Li-Wan do mężczyzny, który spał, a głowę miał okrytą śpiworem z wiewiórczych skórek. Zawołała po cichu, jak gdyby obowiązek walczył w niej ze strachem przed chwilą przebudzenia. Bo Li-Wan bała się tego swojego rosłego męża, zupełnie niepodobnego do innych znanych jej mężczyzn.

Łosiowe mięso zaskwierczało nieprzyjemnie. Kobieta przesunęła patelnię na skraj czerwonego żaru i zerknęła z ukosa w stronę dwóch psów znad Zatoki Hudsona. Wilczury wodziły wzrokiem za każdym jej ruchem i łakomie wysuwały ociekające śliną czerwone jęzory. Ogromne, kudłate bestie siadły koło ogniska pod wiatr i w cienkiej smudze dymu chroniły się przed niezliczonymi chmarami komarów. Kiedy Li-Wan spojrzała w dół, na stromy brzeg Klondike toczącej wezbrane wody między wzgórzami, jeden z psów jak robak podpełznął do patelni. Zwinnym ruchem wyciągnął łapę i strącił w popiół kawał gorącego mięsa. Li-Wan dostrzegła to kącikiem oka. Pies trafiony w nos polanem, odskoczył i warknął. Nie odrywając od niego wzroku kobieta podniosła uratowane mięso.

— Fuj! Olo! — krzyknęła. — Ciągleś głodny i głodny! Dłatego dostajesz za swoje, że pchasz nos, gdzie nie trzeba.

Drugi pies stanął po stronie Olo i wraz z nim gotował się do walki. Jeżyła się im sierść na karkach i grzbietach, cienkie wargi unosiły się, marszcząc brzydko i odsłaniając okrutne, groźne kły. Nosy fałdowały się, wykrzywiały w srogiej pasji. W gardzielach bulgotało warczenie — wilczy charkot dzikich bestii, którym sama natura rozkazuje rzucić się, powalić przeciwnika.

— A ty, Bash, złyś zawsze, niczym twój pan! Nie szanujesz ręki, co cię karmi. Nie dajesz mi spokoju! To nie twoja sprawa! Ale chcesz? Niech będzie twoja! Masz! Masz! A masz!

Krzyząc tak Li-Wan rzucała szczapami, ale psy zręcznie unikały ciosów i ani myślały o kapitulacji. Rozłączyły się i przycupnięte do ziemi czołgały się na brzuchach. Warcząc głucho nadciągały z dwóch stron, oskrzydlały wroga. Li-Wan wojowała z wilczurami od czasu, gdy zaczęła raczkować między wiązkami skór w wigwamie. Wiedziała, że sytuacja jest groźna. Bash stanął, napiął mięśnie, gotował się do skoku. Olo pełzał jeszcze, ale był coraz bliżej i bliżej.

Kobieta porwała dwie główne za zwęglone końce. Śmiało stawiała czoła buntownikom. Olo cofnął się, lecz Bash dał susa i w powietrzu natknął się na ognisty oręż. Zaskowyczał boleśnie. Rozszedł się swąd przypalonych kudłów i skóry. Pies padł na ziemię, a kobieta resztkę rozżarzonego drewna rzuciła mu w pysk. Zawył wściekle, rzucił się w bok, uskoczył spod jej ręki i w dzikim popłochu zaczął szukać schronienia. Olo umykał, lecz Li-Wan przypomniwała mu o swej władzy tego zdzieliwszy szczapą po żebrach. Później oba wilczury wycofały się pod gradem polan, aby na krańcu biwaku lizać rany, skowycząc i warcząc na przemian.

Li-Wan zdmuchnęła popiół z ocalonego mięsa. Serce biło jej nie mocniej niż zwykle. Pospolite, codzienne wydarzenie szło już w niepamięć. Podczas wrzawy i zamieszania Canim ani się ruszył. Za to począł potężnie chrapać.

— Hej, Canim! — zawołała kobieta. — Upał dnia mija. Czas w drogę. Ścieżka czeka naszych stóp.

Peleryna z wiewiórczych skórek drgnęła. Odrzuciło ją na bok brunatne ramię. Powieki śpiącego uniosły się i zaraz opadły.

„Dźwigał ciężkie juki — pomyślała Li-Wan. — Utrudziła go poranna praca”.

Poczula na szyi ukłucie komara, pomazała więc odsłonięte miejsce wilgotną gliną, której pecynę miała dla wygody pod ręką. Mężczyzna i kobieta pieli się przez cały ranek zboczem działu wodnego i dla ochrony przed chmarami napastliwych owadów smarowali twarze lepkiem mułem. Błoto wysychało na słońcu, zastygało w maskę, która pękała raz po raz przy poruszeniu mięśni. Dziury trzeba było wciąż łątać, toteż skorupa miała nierówną grubość w rozmaitych miejscach i twarze wędrowców przedstawiały dziwaczny widok.

Li-Wan zaczęła potrząsać mężem delikatnie, lecz wytrwale. Wreszcie Canim ocknął się, usiadł. Przede wszystkim spojrzał na słońce, a zasięgnąwszy rady niebieskiego zegara, przycupnął koło ognia i łapczywie rzucił się na mięso. Był to rosły, barczysty Indianin o szerokiej klatce piersiowej i potężnych mięśniach. Mierzył pełne sześć stóp. Oczy miał bystrzejsze niż większość jego ziomków, bardziej inteligentne, żywe. Bruzdy znamionujące wolę głęboko poorwały mu twarz, a że była to twarz pierwotna i uparta, wyraz jej zdawał się mówić o człowieku z natury nieugiętym, świadomym celu i w razie potrzeby zdolnym do zimnego okrucieństwa.

— Jutro, Li-Wan, urządzimy biesiadę.

Do czysta wyszał kość szpikową. Rzucił ją wilczurom.

— Będziemy jedli racuchy smażone na bekonowym tłuszczu i cukier. To smaczniejsze niż...

— Racuchy? — spytała zaciekawiona Li-Wan z trudem wymawiając dziwne słowo.

— Aha! — odpowiedział tonem wyższości. — Nauczę cię nowych sposobów gotowania. Nie masz pojęcia o tych rzeczach, o których teraz mówię, no, i o bardzo wielu innych. Żyłas przecie w małym, odludnym kątku ziemi, nic nie rozumiesz. Ale ja... — Wyprostował się i dumnym wzrokiem zmierzył żonę. — Wielki podróżnik ze mnie. Bywałem we wszystkich krajach, nawet pośród białych ludzi. Znam ich obyczaje i obyczaje wielu, wielu ludów. Nie jestem jak drzewo, które wyrasta po to, żeby zawsze stać na jednym miejscu i nie wiedzieć, co się dzieje za najbliższym wzgórzem. Jestem Canim, Canim-Czółno, urodzony do wędrowek po świecie, do podróży, do poznawania ziemi jak długa i szeroka.

Kobieta pokornie chyliła głowę.

— Słusznie mówisz. Przez całe życie jadałam ryby, mięso i jagody. Żyłam w małym, odludnym kątku ziemi. Nigdy nie marzyłam, że świat jest taki wielki. Dopiero gdy uprowadziłeś mnie z mojego plemienia, bym ci gotowała i dźwigała za tobą ciężary na nieskończenie długiej ścieżce...

Urwała nagle, podniosła wzrok na męża.

— Powiedz, Canim, czy ta ścieżka ma koniec?

— Nie — odpowiedział. — Moja ścieżka jest jak świat: nie kończy się nigdzie. Moja ścieżka to właśnie świat, który przemierzam, odkąd nogi zaczęły mnie nosić, i przemierzać będę aż do śmierci. Mój ojciec i matka może już nie żyją, ale nie dbam o to; dawno widziałem ich ostatni raz. Moje plemię jest podobne twojemu. Siedzi na miejscu, bardzo stąd daleko. Ale ja nie dbam o swoje plemię, bo jestem Canim, Canim-Czółno.

— A czy ja, Li-Wan, muszę do śmierci wędrować twoją ścieżką, chociaż jestem strudzona?

— Ty, Li-Wan, jesteś moją żoną. Żona wędruje ścieżką męża wszędzie, dokąd ta ścieżka wiedzie. Tak chce prawo. A gdyby nawet chciało inaczej, takie byłoby prawo Canima, który jest prawodawcą dla siebie i swoich.

Li-Wan pochyliła znów głowę, bo jedyne prawo, jakie znała, głosiło, iż mężczyzna jest panem kobiety.

— Nie spiesz się — rzekł Canim, kiedy żona zaczęła się krzątać i zwijać w swoje juki ubogi sprzęt domowy. — Słońce jeszcze piecze, a ścieżka idzie teraz w dół, więc droga będzie lekka.

Posłusznie zaniechała pracy. Wróciła na dawne miejsce i usiadła. Canim spojrział na nią z nagle zbudzonym zainteresowaniem.

— Nie siadasz na piętach, jak inne kobiety — powiedział.

— Nie, nie mogłam się jakoś nauczyć. Męczy mnie to. Nie wypoczywam wcale.

— A czemu twoje stopy nie wskazują prosto przed siebie?

— Nie wiem. Wiem tyle, że stopy moje różnią się od stóp innych kobiet.

Canim odpowiedział tylko błyskiem zadowolenia w oczach i myśli swych nie zdradził bodaj gestem.

— Włosy masz czarne, jak wszystkie kobiety, ale czy zauważyłaś kiedy, że są bardziej delikatne i miękkie niż włosy innych kobiet?

— Zauważyłam — odpowiedziała krótko, bo nie była zadowolona z chłodnego rozważania jej braków i niedomagań.

— Przed rokiem zabrałem cię twojemu plemieniu — podjął Canim — a jesteś równie nieśmiała i tak się mnie boisz, jak w dniu, kiedy pierwszy raz spojrział na ciebie. Jak to się dzieje?

Li-Wan skinęła głową.

— Strach mi cię, Gammie, bo jesteś duży i dziwny. A zresztą, zanim ty spojrzaleś na mnie, bałam się wszystkich młodych mężczyzn. Nie wiem... Nie potrafię wytłumaczyć... ale... Ale tak mi się jakoś wydawało, jak gdybym nie była dla nich..., jak gdyby...

— No! — niecierpliwie ponaglił żonę, gdy głos jej się załamał.

— Jak gdyby oni nie byli z mojego plemienia.

— Nie z twojego plemienia? — zapytał powoli. — A jakież jest twoje plemię?

— Nie wiem. Ja... — bezradnie rozłożyła ręce. — Nie umiem wyrazić tego, co odczuwałam. Było we mnie coś dziwnego. Nie robiłam jak inne dziewczęta, co zabiegają chytrze o chłopców. Wcale nie dbałam o nich. Myślałam, że to coś złego, że wstyd...

— Co najdawniej pamiętasz? — zapytał Canim zmieniając nagle temat.

— Pow-Wah-Kaan, matkę.

— I nic więcej? Nic przed Pow-Wah-Kaan?

— Nic więcej.

Canim bystro spojrział jej w oczy, sięgnął do głębi duszy i dostrzegł niepewność.

— Namyśl się, namyśl dobrze, Li-Wan — pogroził.

Zająknęła się, spojrziała na męża smutnym, błagalnym wzrokiem, uległa jednak silniejszej woli, jak gdyby mimo oporu wydarto jej z ust słowa:

— Ach, to były tylko sny, Canim, niedobre, dziecinne sny, cienie rzeczy nieprawdziwych, przywidzenia, jakie miewają psy, kiedy drzemiąc na słońcu zaczynają nagle skomleć.

— Gadaj — rozkazał — o tym, co było przed Pow-Wah-Kaan, twoją matką.

— To prawie zatarte wspomnienia — odparła. — Jako dziecko marzyłam czasami, chociaż oczy miałam otwarte na światło dnia. Kiedy opowiadałam później o dziwach, które mi się jawiły, ludzie mnie wyśmiewali, a inne dzieci bały się, stroniły ode mnie. Jak mówiłam Pow-Wah-Kaan o tym, co widywałam w snach, matka łajała mnie i krzyczała, że to złe rzeczy. Biła mnie nawet. To pewnie była choroba, coś jak padaczka, na którą nieraz cierpią starzy. Kiedy podrosłam, ozdrowiałam jakoś i przestałam marzyć. A teraz... teraz nie mogę sobie przypomnieć...

— Zaniepokojona podniosła rękę do czoła. — Wspomnienia są tam gdzieś, głęboko, ale nie umiem ich odnaleźć... Tylko...

— Tylko... — powtórzył Canim ujmując jej rękę.

— Tylko jedno, ale będziesz się śmiał, bo jest całkiem niedorzeczne, niepodobne do prawdy.

— Nie, Li-Wan, nie będę się śmiał. Sny są snami, ale mogą być także odbiciem innego, poprzedniego życia. Ja wierzę, na przykład, iż byłem niegdyś łosiem, a wiem o tym dzięki temu, co widziałem nieraz i słyszałem w snach.

Widać było, że Canim jest coraz bardziej zaniepokojony, chociaż usiłuje nad sobą zapanować. Ale Li-Wan tego nie dostrzegała. Z wysiłkiem szukała słów, by odmalować dziwny obraz.

— Widzę usłany śniegiem szlak między drzewami — zaczęła. — Widzę przecinający śnieg trop człowieka, co z trudem włókł się na rękach i kolanach. Widzę też w śniegu człowieka, tak mi się zdaje, że patrzę na niego z bardzo bliska. Nie jest podobny do prawdziwych ludzi, bo na twarzy ma włosy, dużo włosów, a włosy na jego twarzy i głowie są żółte jak letnia sierść łasicy. Powieki ma zamknięte, ale podnosi je i spogląda dokoła. Oczy są błękitne jak niebo. Patrzą w moje oczy i przestają się rozglądać. Człowiek porusza ręką ciężko, powoli, jak gdyby był bardzo słaby. Wtedy czuję...

— Aha — przerwał Canim ochryłym szeptem. — Co czujesz?

— Nie, nie! — zawołała żywo. — Nic nie czuję! Czy powiedziałam „czuję”? Nie to miałam na myśli. Nie mogłam tego mieć na myśli. Widzę. Tylko widzę! Widzę na śniegu człowieka z oczami jak niebo i włosami koloru sierści łasicy. Widywałam to wiele razy i zawsze wyglądało tak samo: w śniegu człowiek...

— A siebie widzisz? — zapytał pochylając się nad nią i mierząc ją przenikliwym wzrokiem. — Czy widywałeś kiedyś siebie przy człowieku w śniegu?

— Dlaczego miałbym widywać siebie? Przecież ja jestem prawdziwa.

Twarz Canima złagodniała. Odchylił się do tyłu i odwrócił wzrok, aby żona nie mogła zobaczyć wyrazu szczerzego zadowolenia.

— Wszystko ci wytłumaczę, Li-Wan — powiedział mentorskim tonem. — W jakimś dawniejszym życiu byłaś ptaszkiem, małą ptaszyną. Wtedy widziałaś te rzeczy i pamięć ich dotychczas trwa w tobie. Nic w tym dziwnego. Ja byłem niegdyś łosiem, a ojciec mojego ojca po śmierci został niedźwiedziem. Tak mówił szaman, a szaman nie może kłamać. Rozumiesz, na ścieżce bogów przechodzimy z jednego życia w drugie, a wiedzą to i pojmują jedynie bogowie. Sny i cienie snów to wspomnienia, wspomnienia, nic więcej. Pies, który skamle przez sen w słonecznym blasku, na pewno widzi i wspomina rzeczy dawno minione. Bash był niegdyś wojownikiem. Głęboko wierzę, że musiał być wojownikiem.

Canim rzucił kość wilczurowi i dźwignął się na nogi. — No, pora w drogę. Słońce przypieka, ale niewiele już się ochłodzi.

— A ci biali ludzie? — zapytała odważnie Li-Wan. — Jak wyglądają?

— Jak ty lub ja — powiedział mąż — tylko skórę mają jaśniejszą. Nim ten dzień skona, będziesz pomiędzy białymi.

Canim przytroczył śpiwór od swoich juków, które ważyły sto pięćdziesiąt funtów, pomazał twarz wilgotną gliną i usiadł, żeby odpocząć, nim żona skończy z obładowywaniem psów. Olo wystraszył się kija w ręku kobiety i bez oporu przyjął na grzbiet czterdzieści kilka funtów bagażu. Ale Bash buntował się, srożył i nie mógł stłumić gniewnego warczenia, gdy pod przymusem dawał się objuczać. Kiedy Li-Wan mocno obciągała troki, pies jeżył grzbiet i pokazywał zęby, a całą złość swej natury wyładowywał w rzucanych spode łba spojrzeaniach.

— A nie mówiłem! — zachichotał Canim. — On był niegdyś wojownikiem, bardzo wielkim wojownikiem!

Poprawił sprzączki przy głównym pasie swoich juków i bez wysiłku dźwignął ciężar z ziemi.

— Te futra — powiedział — będą miały cenę, wielką cenę. Biali dobrze płacą za taki towar, bo nie mają czasu na polowanie, a w dodatku źle znoszą zimno. Niedługo urządzimy biesiadę, Li-Wan, biesiadę, jakiej nie widziałas ani w tym życiu, ani w żadnym z poprzednich.

Szeptem podziękowała władcy za łaskawą obietnicę, nałożyła juki i pod brzemieniem pochyliła się do przodu.

— Jak urodzę się następny raz, będę białym człowiekiem — dodał Canim i lekkim krokiem wstąpił na ścieżkę wiodącą stromo w dół, zboczem parowu.

Psy szły za nogą pana, a pochód zamykała Li-Wan. Ale myśli jej wędrowały daleko na wschód, za Góry Lodowe, do małego, odludnego kąta ziemi, gdzie przeżyła dzieciństwo. Kiedy była dziewczynką — dobrze pamiętała — uważano ją zawsze za istotę osobliwą, jak gdyby nawiedzoną lub chorą. Tak! Marzyła na jawie i dostawała połajanki lub kije za dziwaczne zjawy, które widywała. Wreszcie wyrosła z tego, niezupełnie jednak. Przywidzenia nie dręczą jej wprawdzie na jawie, lecz powracają we śnie, nawet teraz, kiedy jest dojrzałą niewiastą. Wiele, wiele nocy wypełniają koszmary pełne złudnych obrazów, mglistych i bezsensownych. Li-Wan, wzburzona po rozmowie z mężem, schodziła krętą ścieżką z grzbietu działu wodnego, lecz myśl jej, jak pies za tropem, nawracała wciąż ku uporczywym zwidom z marzeń sennych.

— Odsapnijmy trochę — powiedział Canim, gdy przebyli pół drogi jarem głównego potoku.

Postawił juki na sterczącym głazie, zsunął z ramion pas i usiadł. Li-Wan poszła za jego przykładem, a zziajane psy legły w pobliżu. U stóp wędrowców szemrał strumyk lodowato

zimnej, górskiej wody, brudnej jednak i zmaconej, jak gdyby zanieczyściła ją świeżo poruszona ziemia.

— Czemu tak jest? — zapytała Li-Wan.

— Bo biali ludzie grzebią w piasku. Słuchaj!

Canim podniósł rękę. Doleciał ich stukot kilofów i łopat oraz dźwięk męskich głosów.

— Biali oszaleli przez złoto i nieustannie pracują, żeby je znaleźć. Pytasz o złoto? Jest żółte, pochodzi z ziemi i ma wielką wartość, a także według niego oblicza się ceny.

Li-Wan odwróciła wzrok, przestała zwracać uwagę na męża. O kilka jardów niżej, przesłonięte po części kępą młodych jodeł ułożone jeden na drugim pnie tworzyły ściany chaty z oblepionym gliną dachem o szerokim okapie. Dreszcz przebiegł Li-Wan. Widma z jej snów powstały i niespokojnie zawirowały dokoła.

— Canim — szepnęła przejęta grozą. — Canim, co to jest?

— Wigwam białego człowieka. Tam on jada i sypia.

Li-Wan pochłaniała wzrokiem dziwną budowlę, szybko oceniła jej zalety i drżała od zbudzonych nagle, niezrozumiałych wzruszeń.

— W czasie mrozów musi tam być bardzo ciepło — powiedziała na głos odczuwając niejasno, że z ust jej płyną jak gdyby cudze słowa. Inne słowa cisnęły się na wargi, dobywały przemocą, ale nie mogła ich wymówić.

— Nazywa się to chata — objaśnił w tej chwili Canim. Serce Li-Wan załomotało gwałtownie. Te dźwięki! Ach, te dźwięki!

Rozejrzała się wokół przejęta strachem. Skąd знаła ów obcy wyraz, zanim go usłyszała? Co to ma znaczyć? Nagle spłynęło olśnienie! Na poły z przestachem, na poły z radością uprzytomniła sobie po raz pierwszy w życiu, że w jej wizjach był sens, było coś prawdziwego.

— C h a t a — powtarzała szeptem — Chata.

Podniósł się wir obrazów z sennych marzeń. W głowie huczało, serce wzbierało wzruszeniem. Cienie, mgliste zarysy spraw i rzeczy, niepojęte skojarzenia rysowały się, piętrzyły dokoła. Li-Wan na próżno walczyła z własną świadomością, aby dobyć je na jaw, utrwalić. Czowała, iż w tym labiryncie wspomnień znajdzie klucz tajemnicy, że trzeba jedynie pochwycić, ująć go silnie, a wszystko będzie jasne, oczywiste... O Canim! O Pow-Wah-Kaan! O duchy i cienie! Co to wszystko znaczy?

Oniemiała, drżąca, spowita szaleńczą plataniną wszechwładnych ułud i marzeń, spojrzała w stronę męża. Robiło jej się słabo, była bliska omdlenia. Mogła tylko słuchać urzekających dźwięków, których przepiękny rytm dobywał się z chaty.

— To skrzypce — wyjaśnił Canim.

Nie słuchała go, gdyż w ogarniającym ją upojeniu odniosła nagle wrażenie, że wszystko już rozumie.

„Teraz! Teraz!” — pomyślała.

Oczy jej zwilgotniały, łzy pociekły po twarzy. Rozwiązuje się zagadka, lecz nadchodzi, zbliża się dziwna słabość. Ach, zachować przytomność, zachować choć na chwilę! Niczego więcej nie potrzeba. Ale krajobraz chwije się i zapada, wzgórze tańczą na tle nieba. Li-Wan zrywa się, wydaje przeraźliwy okrzyk:

— Tatusiu! Tatusiu!

Zgubiona w nagłych mrokach zatoczyła się, padła twarzą między głązy.

Canim obejrzał ją, mruknął z zadowoleniem, przekonawszy się, że ciężkie juki nie przetrąciły jej kręgosłupa. Później oblał Li-Wan wodą ze strumienia. Powoli wracała do przytomności. Wreszcie, wstrząsana łkaniem, usiadła.

— Niedobrze, kiedy gorące słońce świeci na głowę — odezwał się mąż.

— Tak, niedobrze — przyznała. — I bardzo utrudziło mnie dźwiganie ciężaru.

— Wcześniej rozbijemy obóz, żebyś mogła się wyspać i nabrać sił — podjął łagodnym tonem. — Ale im rychlej pójdziemy teraz, tym rychlej legniemy na spoczynek.

Li-Wan nie miała nic do powiedzenia. Podniosła się i ruszyła z miejsca psy. Mechanicznie dostosowała tempo do rytmicznego kroku męża i idąc za nim, niebawem minęła chatę. Nie było już słycać dźwięków skrzypiec, chociaż drzwi stały otworem, a z blaszanej rury dobywała się spiralna smuga dymu.

Przy zakręcie strumienia wędrowcy napotkali mężczyznę o jasnej skórze i błękitnych oczach. Na moment Li-Wan ujrzała tamtego mężczyznę w śniegu, ale widziała go niewyraźnie, bo była osłabiona, znużona wstrząsem, który przeżyła tak niedawno. Mimo to przystanąła obok Canima i wraz z nim przyglądała się ciekawie dziwnemu człowiekowi oraz jego pracy.

Kolistymi ruchami płukał żwir na pochylonej ukosem dużej misce, a kiedy potrząsnął nią zręcznie, na dnie błysnął szeroki pas złotego złota.

— Bardzo bogaty ten strumień — wyjaśnił Canim żonie, gdy ruszyli w dalszą drogę. — Kiedyś i ja znajdę nie gorszy. Wtedy będzie ze mnie wielki człowiek.

Napotykali coraz więcej chat i ludzi, aż wreszcie znaleźli się w miejscu, gdzie zaczynała się prosta, rozległa dolina. Przedstawiała ona obraz straszliwego spustoszenia. Ziemia była wszędzie poszarpana i zryta, jak gdyby po zapasach tytanów. Tam, gdzie nie wznosiły się kopce przekopanego żwiru, ziały doły i rowy albo czarne wyrwy, w których grubą powłokę gleby zdarto aż do skalistego podłoża. Strumień nie płynął zwyczajnym korytem, lecz wody

jego, powstrzymywane i zawracane wielokroć tamami, ściekały rynnami w kanały i zagłębienia po tysiąc razy służąc ludziom do tego samego wciąż celu. Wzgórza odarto z drzew, a wielkie ześlizgi do drewna i szyby odkrywkowe ohydnie szpecily pokaleczone, nagie zbocza. Wśród tego wszystkiego niby olbrzymie gniazdo mrówek uwijali się ludzie — umazani błotem, brudni, obdarci. Niknęli w norach własnego wiercenia i z nor tych wyłazili, niby robactwo pełzali wzdłuż rynien; harowali, pocili się przy żwirowych kopcach, które przekopywali i patroszyli nieustannie. Dokąd wzrok sięgnął, nawet na grzbietach wzgórz widać było ludzi, którzy dziurawili, targali, kaleczyli oblicze przyrody.

Ten potworny kataklizm przejął grozą Li-Wan.

— Canim, to na pewno ludzie szaleni — powiedziała do męża.

— Nic dziwnego — odrzekł. — Złoto, którego szukają, to ważna rzecz, najważniejsza w świecie.

Parę godzin szli przez ów chaos ludzkiej chciwości. Canim był skupiony, czujny, Li-Wan słaba i obojętna. Zdawała sobie sprawę, że stanęła na granicy wielkiego odkrycia, że jest nadal u tej granicy. Ale wyczerpana napięciem nerwowym, biernie czekała na coś niewiadomego, co miało nastąpić. Po drodze zmysły chwytaly, przekazywały świadomości liczne wrażenia, a każde z nich stanowiło bodziec dla udręczonej wyobraźni. Gdzieś w głębi duszy czułe struny drgały pod wpływem wrażeń zewnętrznych. Ożywały obrazy od dawna zapomniane, nie widywane nawet w snach. Li-Wan uświadamiała to sobie bez zainteresowania, dręczyła się wewnątrz, lecz brakowało jej mocy ducha i zapału, by przyswoić sobie te doznania i zrozumieć. Zmęczona dreptała za władcą, poprzestając na wyglądaniu tego, co — jak wiedziała — musi zdarzyć się gdzieś i kiedyś.

Wyzwoliwszy się z narzuconej przez ludzki obłęd niewoli strumień powrócił wreszcie do naturalnego stanu i brudny, zmętniały wił się leniwie pośród przestronnych równin i gajów doliną rozszerzającą się w pobliżu ujścia. Tutaj kończyła się „opłacalność”, nie było przynęty, która mogłaby zwabić ludzi. Tutaj też, w momencie gdy przystanęła, by pogonić kijem Olo, Li-Wan usłyszała dźwięczne srebro niewieściego śmiechu.

Przed chatą siedziała kobieta o jasnej skórze, różowa jak dziecko, uśmiechając się radośnie do innej kobiety, która stała w drzwiach. Pierwsza z nich rozrzuciła wokół bujne, ciemne, wilgotne włosy i suszyła je wystawiając na ciepłą pieśczołę promieni słońca.

Przez chwilę Li-Wan stała niby urzeczona. Później oślepiła ją nagła błyskawica. Coś jak gdyby ustąpiło z drogi. Znikła kobieta przed chatą, znikła chata i wysokie jodły, i poszarpana linia na granicy grzbietu górskiego i nieba. W blaskach innego słońca Li-Wan ujrzała inną kobietę, która śpiewając rozczesywała obfite ciemne włosy.

Usłyszała i zrozumiała słowa pieśni i znowu była dzieckiem. Doznała olśnienia, w którym stopiły się w jedno wszystkie dawne dręczące sny, a cienie i mgliste zarysy nabrały właściwych kształtów. Wszystko było jasne, proste, realne. Tłumnie przemykać zaczęły rozmaite obrazy: dziwaczne sceny, kwiaty, drzewa, ludzie. Li-Wan widziała to wszystko i wszystko poznawała.

— Niegdyś byłaś ptaszkiem, małą ptaszyną — powiedział Canim bystro patrząc Li-Wan w oczy, jak gdyby chciał je przepalić spojrzeniem.

— Niegdyś byłam małą ptaszyną — szepnęła tak cicho, że głosu jej prawie nie było słychać.

Zdawała sobie sprawę, że kłamie w tej chwili. Pochyliła się pod ciężarem juków, spuściła czoło i miarowym krokiem ruszyła w dalszą drogę.

Wszystko to było takie dziwne, że prawda stała się nierealna. Milowy marsz i rozbijanie obozu nad brzegiem małego potoczku sprawiały wrażenie scen z koszmaru. Li-Wan jak we śnie przyrządzała wieczerzę, karmiła psy, rozsznurowywała juki. Przyszła do siebie wówczas dopiero, kiedy Canim zaczął projektować następną wędrowkę.

— Klondike wpada do Yukonu — mówił — wielkiej rzeki, większej niż Mackenzie, o której ci wiadomo. A zatem my obydwójce, ty i ja, pójdziemy w dół Klondike aż do Fortu Yukon. Zimą i z psami będzie to dwadzieścia noclegów. Później z biegiem Yukonu będziemy szli na zachód... sto noclegów, może dwieście. Nie wiem, nikt mi nigdy nie mówił. To bardzo daleko. Ale później trafimy nad morze. Ty nic nie wiesz o morzu, ale zaraz ci wytłumaczę. Czym jezioro jest dla wyspy, tym morze dla całej ziemi. Wszystkie rzeki płyną do niego, a ono wcale nie ma końca. Widziałem morze w Zatoce Hudsona, muszę więc zobaczyć je i na Alasce. A później ty, Li-Wan, i ja możemy popłynąć na morze wielkim czółnem albo wiele, wiele setek noclegów wędrować lądem na południe. Co będzie dalej, nie wiem. Wiem tylko, że jestem Canim, Canim-Czólno, wielki podróżnik po całej ziemi, jak długa i szeroka!

Kobieta siedziała bez ruchu i słuchała, a strach kąsał jej serce na myśl o zapuszczeniu się w bezkresne pustkowia.

— To ciężka droga — powiedziała tylko i z rezygnacją schyliła głowę na kolana.

W tej chwili wspaniała, cudowna myśl zaświtała jej w głowie. Li-Wan opanowało uniesienie. Zeszła nad potok i zmyła z twarzy wyschłą glinę, a kiedy uspokoiło się zwierciadło wodne, długo patrzyła na własne odbicie. Ale słońce, wiatry i deszcze zrobiły swoje: skóra Li-Wan była brązowa, ogorzała — nie miękka i delikatna jak u dziecka. Mimo to myśl była nadal wspaniała i uniesienie nie minęło wcale, gdy kobieta wsunęła się pod pelerynę z wiewiórczych skórek i legła u boku męża.

Czuwała spoglądając w górę ku błękitnemu niebu. Czekwała, aż Canim zapadnie w pierwszy, twardy sen. Kiedy się to stało, ostrożnie, powoli wypęzła spod okrycia, otuliła Canima i wstała. Za drugim jej krokiem Bash warknął gniewnie. Zaszepotała doń pojednawczym tonem i z ukosa zerknęła na mężczyznę. Chrapał donośnie. Li-Wan odwróciła się i szybkim, bezszelestnym krokiem odeszła ścieżką, która niedawno przywiodła ją do obozowiska.

Pani Ewelina Van Wyck wybierała się właśnie do łóżka i kończyła niezbędne przygotowania.

Znudzona obowiązkami narzuconymi przez wytworne towarzystwo, znaczny majątek i błogosławiony stan wdowieński, odbyła podróż na Daleką Północ i poświęciła się gospodarstwu domowemu w przytulnej chatce na krańcu terenów złotonośnych. Tam, korzystając z pomocy i zachęty swej damy do towarzystwa oraz przyjaciółki, Myrtle Giddings, pani Ewelina Van Wyck bawiła się w życie na łonie przyrody, rozpustnie pławiła w prymitywie.

Zapra gnęła umknąć od wielu pokoleń kultury i salonowego doboru. Chciała wrócić w objęcia dzikiej ziemi, którą praszczury jej porzucili. Tkliwie pielęgnowała myśli i uczucia bardzo, jej zdaniem, pokrewne myślom i uczuciom człowieka z okresu kamiennego. W danej chwili układając na noc bujne włosy pani Ewelina Van Wyck raczyła własną wyobraźnię obrazami paleolitycznych zalotów. Dekoracje stanowiły przeważnie jaskinie pełne pogruchotanych puszczeli, srogie drapieżniki, kudłate mamuty i bójki niezdarnie ciosanymi nożami z kamienia. Pani Van Wyck doznawała rozkosznych uczuć! Nawą mrocznej puszczy umykała przed zbyt natrętnymi umizgami niskoczołego, odzianego w skóry wielbiciela, gdy nagle... Nagle otworzyły się drzwi (bez obowiązującego ludzi uprzejmych pukania) i do chaty weszła odziana w skóry kobieta — dzika i pierwotna!

— O Boże!

Susem, jakiego nie powstydziałaby się kobieta jaskiniowa, panna Giddings wylądowała w bezpiecznym miejscu za stołem. Ale pani Van Wyck dotrzymała pola. Bez trudu spostrzegła, że nieproszony gość jest mocno wzruszony. Szybko zerknąwszy za siebie upewniła się, że ma wolną drogę do łóżka, gdzie pod poduszką spoczywał duży colt.

— Pozdrawiam cię, kobieto o przepięknych włosach — powiedziała Li-Wan.

Powiedziała to jednak w swoim języku, znanym tylko w małym, odludnym kątku ziemi, toteż kobieta o przepięknych włosach nic nie zrozumiała.

— Mam biec po pomoc? — wyjąkała panna Giddings.

— To jakieś biedne, niegroźne stworzenie — odrzekła pani Van Wyck. — Spójrz tylko na jej futrzany ubiór, znoszony, wytarty w wędrowkach. Ale za to z pewnością okaz jedyny w swoim rodzaju. Kupię go do swoich zbiorów. Bardzo cię proszę, Myrtle, podaj mi worek i ustaw wagę.

Li-Wan bacznie obserwowała ruchy jej ust, słów wszakże nie rozumiała; uświadomiła też sobie w chwili żalu i niepewności, że nie istnieje sposób porozumienia z tą istotą.

Zrozpaczona, zła na własną niemotę, rozkrzyżowała ramiona i krzyknęła głośno:

— O kobieto! Jesteśmy siostrami!

Po twarzy ciekły jej łzy wielkiej tęsnoty, a drżenie głosu świadczyło

o bólu, którego Li-Wan nie potrafiła ubrać w słowa. Panna Giddings trzęsła się ze strachu, a nawet sama pani Van Wyck była zaniepokojona.

— Będę żyła tak, jak ty żyjesz. Twoje obyczaje są moimi, niechaj więc będą wspólne. Mój mąż to Canim, Canim-Czólno. Jest wielki i obcy. Ja się go boję. Jego ścieżką jest cały świat, co nigdzie się nie kończy, a ja jestem strudzona. Moja matka była podobna do ciebie. Miała takie jak ty włosy i takie oczy. Wtedy życie było mi miłe, a słońce ciepłe.

Uklękła pokornie i schyliła głowę do stóp pani Van Wyck. Ale dama odskoczyła wystraszona uniesieniem dziwnej kobiety.

Li-Wan podniosła się. Dyszała ciężko, zbierając siły do dalszej przemowy. Nieme wargi nie były w stanie wyrazić przemożnego, ogarniającego wszystko poczucia wspólnoty.

— Handlować? Ty handlować? — zapytała pani Van Wyck uciekając się do prymitywnego żargonu, zwyczajem przedstawicieli rasy wyższej.

Chcąc wyjaśnić, co zamierza nabyć, dotknęła zniszczonego futrzanego odzienia Li-Wan i wysypała na szalkę złoto wartości kilkunastu dolarów. Poruszała żółty, błyszczący proszek, kusząco przesypywała go między palcami. Ale Li-Wan widziała tylko toczone, śnieżnobiałe palce zakończone różowymi paznokietkami, pięknymi niby klejnoty. Pokazała własną rękę — kostropatą, zniszczoną od pracy — i wybuchnęła płaczem. Pani Van Wyck zrozumiała to niewłaściwie.

— Złoto! — dodała kobiecie odwagi. — Dobre złoto! Ty handlować? To za to!

Jeszcze raz położyła dłoń na futrzanym kaftanie.

— Ile? Ty sprzedać? Ile? — nalegała gładząc futro pod włos, aby upewnić się, czy naprawdę jest szyte ścięgnami.

Li-Wan była jednak głucha i słowa nie miały dla niej żadnego znaczenia. Opanowała ją rozpacz z powodu zupełnego niepowodzenia. Jak dowieść, iż nie różni się od tych niewiast? Wiedziała przecie, że mają jedną krew; są siostrami, że uznać to powinni wszyscy ludzie. Półprzytomnym wzrokiem wodziła po wnętrzu chaty. Widziała rozwieszone dokoła miękkie kotary, kobiece stroje, owalne lustro, ustawione przed nim śliczne cacka toaletowe. Dręczyły ją te przedmioty, bo podobne widywała niegdyś i teraz, kiedy się im przyglądała, wargi bezwiednie kształtowały dźwięki, których nie śmiała wymówić. Nagle doznała olśnienia. Wyprostowała się, zapanowała nad sobą. Musi być spokojna, musi wiedzieć, co robi, gdyż tym razem koniecznie trzeba uniknąć nieporozumienia albo... Li-Wan targnęła tłumiony szloch; ponownie zdobyła się na wysiłek.

Położyła rękę na stole.

— Stół — oznajmiła głośno i wyraźnie. — Stół — powtórzyła. Spojrzała na panią Van Wyck, która twierdząco skinęła głową.

Li-Wan uradowała się, lecz nie przestała nad sobą panować.

— Piec — powiedziała. — Piec.

Pani Van Wyck przytakiwała raz po raz, a Li-Wan ożywiła się, wzruszała coraz bardziej. To powoli, niepewnie, to z gorączkowym pośpiechem — zależnie od tego, jak szybko odświeżały się w pamięci zapomniane wyrazy — chodziła po chacie i nazywała jeden przedmiot po drugim. Wreszcie skończyła z triumfem. Wyprostowała się dumnie, przechyliła w tył głowę, pełna oczekiwania i nadziei.

— Ko-tek. — Roześmiana pani Van Wyck przesyłabizowała, jak w przedszkolu: — Włazł ko-tek na pło-tek i mru-ga.

Li-Wan poważnie skinęła głową. Nareszcie ją zaczynają rozumieć. Na tę myśl zarumieniła się pod brązową opalenizną, uśmiechnęła i z jeszcze większym zapalem kiwnęła głową.

Pani Van Wyck spojrzała na swą towarzyszkę.

— Pewnie liznęła gdzieś trochę misyjnej edukacji i przyszła tutaj, żeby się popisać.

— Oczywiście — zaszcebiotała panna Giddings. — Biedna głuptaska! Nie wyśpimy się przez jej niemądrą próżność,

— Tak czy inaczej, muszę mieć ten kaftan — powiedziała pani Van Wyck. — Pewnie, że jest zniszczony, ale robota pierwszorzędna. Wspaniały okaz! To za to! — zwróciła się do szczególnego gościa. —

Hę? To za to! Rozumiesz? Ile? Hę? Ile ty chcesz? Rozumiesz? To za to!

— Może będzie wolała suknię albo co innego z garderoby — zasugerowała panna Giddings.

Dama zbliżyła się do Li-Wan i na migi dała jej do zrozumienia, że pragnie zamienić swój szlafroczek na skórzany kaftan. Zachęcając do transakcji ujęła dłoń gościa i położyła ją na ozdobnym gorsie pośród wstążek i koronek. Przesunęła palcami Li-Wan tam i z powrotem, aby pokazać, jak delikatna jest tkanina. Ale broszka w kształcie motyla była niedbale przypięta i szlafroczek rozchylił się na przodzie ukazując jędrną, białą pierś, co nigdy nie zaznała warg niemowlęcia.

Pani Van Wyck obojętnie doprowadziła garderobę do porządku, lecz Li-Wan wydała przejmujący okrzyk. Nerwowo zaczęła targać, szarpać skórzaną koszulę, aż wreszcie dobyła własną pierś również białą i jędrną jak pierś Eweliny Van Wyck. Wydając nieartykułowane dźwięki i gestykułując żywo Li-Wan usiłowała na tej zasadzie dowieść pokrewieństwa.

— Metyska — wyjaśniła pani Van Wyck. — Na widok jej włosów od razu przyszło mi to do głowy.

Panna Giddings zrobiła godną minę.

— Szczyci się białą skórą ojca. Co za ohyda! Dajże jej coś, Ewelino, i wypraw wreszcie.

Ale druga niewiasta westchnęła.

— Ach biedactwo! Tak chciałabym coś dla niej zrobić.

W tej chwili ciężkie kroki zachrzęściły na żwirze przed chatą. Drzwi się otwały i wszedł Canim. Panna Giddings wrzasnęła przerażona wizją nagłej i gwałtownej śmierci, lecz pani Van Wyck spokojnie przyjęła nowego gościa.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Dobry wieczór — odrzekł uprzejmie i krótko, wskazując jednocześnie Li-Wan. — To moja żona.

Sięgnął po nią, ale Li-Wan powstrzymała go ruchem ręki.

— Przemów, Canim! Powiedz im, że ja jestem...

— Że jesteś córką Pow-Wah-Kaan? To ich nic nie obchodzi. Nie są ciekawe. Lepiej powiem im, że zła z ciebie żona, co odchodzi ukradkiem od męża, kiedy sen sklei mu powieki.

Znów sięgnął po nią, lecz Li-Wan umknęła do pani Van Wyck.

Padła jej do nóg, błagając o coś gorąco, próbowała objąć jej kolana. Ale dama cofnęła się i spojrzeniem udzieliła pozwolenia Canimowi, który chwycił żonę pod pachy i postawił na podłodze. Opanowana szaleńczą rozpaczą walczyła z nim, aż mężczyzna zaczął ciężko dyszeć ze zmęczenia. Zatoczyli się na środek izby.

— Puść mnie, Canim! Pozwól odejść — szlochała kobieta. Wykręcił jej rękę tak mocno, że zaniechała oporu.

— Wspomnienia małej ptaszyny są za wyraźne, sprawiają kłopoty — zaczął.

— Teraz wiem! Wiem wszystko! — wybuchnęła Li-Wan. — Widzę człowieka w śniegu tak, jak nigdy dawniej. Widzę, że pełza na czworakach, a mnie, małe dziecko, niesie na plecach. I to było przed Pow-Wah-Kaan, zanim zamieszkałam w małym odludnym kątku ziemi!

— Wiesz wszystko — powiedział Canim wlokąc ją w stronę drzwi — ale i tak pójdziesz ze mną w dół Yukonu i zapomnisz!

— Nigdy nie zapomnę! Nigdy! Będę pamiętała, póki zostanie mi biała skóra!

Kurczowo uczepliła się futryny drzwi i błagalnym wzrokiem spojrzała po raz ostatni na Ewelinę Van Wyck.

— Już ja, Canim-Czólno, nauczę cię zapominać!

Oderwał jej palce od drewna i wlokąc za sobą żonę, wkroczył na szlak.

Wróg świata

Człowiekiem, który pokonał ostatecznie uczonego czarownika i arcywroga ludzkości, Emila Glucka, był Silas Bannermann.

Wyznanie Glucka, przed zawleczeniem go na elektryczne krzesło, rzuciło snop światła na szereg wypadków, z których nie wszystkie doszły do naszej świadomości, a które tak straszliwie wstrząsały światem w latach 1933-1941. Dopiero z chwilą ogłoszenia tego zdumiewającego dokumentu zrodziło się w umysłach ludzkich przypuszczenie, że zachodzić może związek jakiś pomiędzy zamordowaniem króla i królowej Portugalii a zbrodniami, dokonanymi na osobach policjantów nowojorskich.

Pomimo że czyny Emila Glucka były nieprawdopodobnie potworne, trudno oprzeć się pewnemu uczuciu litości dla nieszczęsnego, zwyrodniałego, zmaltretowanego geniusza. Dzieje jego nie były nigdy rozpatrywane z tego punktu widzenia, zaś mnóstwo faktów, protokołów i dokumentów z owego czasu daje nam możliwość odtworzenia jego względnie wiernego wizerunku oraz zdania sobie sprawy z czynników i wpływów, które urobiły z niego w następstwie potwora w ludzkiej postaci i skierowały go na wynaturzoną drogę, po jakiej stale odtąd kroczył.

Emil Gluck urodził się w stanie Nowy Jork, w Syrakuzach, w 1895 roku. Ojciec jego, Józef Gluck, policjant i stróż nocny, umarł nagle na zapalenie płuc w 1900 roku. Matka — ładna, wątpa istota, która przed ślubem zajmowała się modniarstwem, zamartwiła się na śmierć utratą męża. Nadwrażliwość matki, przekazana dziedzicznie chłopcu, rozwinęła się u niego w sposób chorobliwie potworny.

W 1901 roku maty Emilek, wówczas sześciolatek, zamieszkał u ciotki, pani Anny Bartell. Była ona siostrą jego matki, mimo to nie tliła się w niej ani krztka żywszego uczucia dla wrażliwego, wylęknionego dziecka. Anna Bartell była kobietą zimną, płytką i bezlitosną. Ciężka nadto na niej podwójna klątwa: ubóstwa i posiadania leniwego, wiecznie wałęsającego się, o nic nie dbającego męża. Chłopiec był niepożądanym gościem w domu ciotki ! nikt lepiej od Anny Bartell nie potrafiłby dać mu tego do zrozumienia. Wymowną ilustracją traktowania go przez nią w owym wczesnym okresie kształtowania się duszy dziecięcej jest fakt następujący:

W rok mniej więcej po wprowadzeniu się do domu Bartellów złamał chłopiec nogę. Wypadek ten zdarzył się w trakcie surowo zakazanej zabawy na dachu, co czynią, czynili i czynić będą wszyscy do końca świata chłopcy, nie umiejący oprzeć się urokowi rzeczy zakazanej. Noga złamana była w dwóch miejscach pomiędzy kolanem a biodrem. Przy pomocy wystraszonych towarzyszy udało się Emilowi dowlec na chodnik przed domem, ale tutaj, wyczerpany bólem, zemdlął. Wszystkie dzieci w sąsiedztwie bały się szkaradnej sekutnicy, dzierżącej władzę w domu Bartellów; zdobywszy się wszakże na odwagę, zadzwoniły i opowiedziały jej o wypadku. Ale megiera ani spojrzała nawet na biedne dziecko, leżące bez duszy na ścieżce, zatrzasnęła drzwi i powróciła do swojej balii. Czas mijał, zaczął kropić deszcz i malec, zbudzony z omdlenia, leżał łkając i jęcząc z bólu. Noga powinna była

być nastawiona bezzwłocznie. W danym stanie rzeczy rozwijało się szybko zapalenie, zaogniające sprawę w sposób fatalny. Wreszcie, po dwóch godzinach, oburzone kobiety z sąsiedztwa natarły ostro na nieludzką ciotkę, która zdecydowała się wreszcie wyjść i spojrzeć na chłopca. Kopnąwszy leżącego bezradnie u jej nóg, zaczęła wrzeszczeć jak opętana, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Nie jest jej dzieckiem, dowodziła, radziła więc wezwać pogotowie Czerwonego Krzyża, aby zabrało go do szpitala. Po czym weszła z powrotem do domu.

W tej chwili nadeszła jednak jeszcze jedna z sąsiadek, Elżbieta Shepston, która dowiedziawszy się, co zaszło, zakrzętała się od razu, aby ułożyć chłopca na noszach, wezwała lekarza! usunąwszy na bok protestującą gwałtownie Annę Bartell pomogła wnieść chorego do domu. Czująca ciotka uprzedziła od razu doktora, że nie ma zamiaru płacić za wizyty.

Dwa miesiące leżał mały Emilek w łóżku, przez pierwszy miesiąc na wznak, i nikt ani razu nie pomyślał o odwróceniu go na bok ani o zmianie pościeli. Leżał opuszczony i samotny z wyjątkiem kilku przypadkowych odwiedzin nie opłacanego, przepracowanego lekarza. Nie miał zabawek, nic, czym mógłby skrócić długie godziny nudy. Nikt nie zwrócił się do niego z łagodnym słowem, nigdy miękka dłoń nie spoczęła kojąco na jego czole, nie doznał od nikogo pieszczoty ani dowodu współczucia — nic prócz wymówek i szorstkich uwag Anny Bortell, która nieustannie wymawiała mu, że niepotrzebnie zwałił się jej na głowę.

Łatwo zrozumieć, ile wśród takiego otoczenia musiało nagromadzić się w duszy samotnego, opuszczonego dziecko nienawiści dla bliźnich i goryczy, które w przyszłości miały znaleźć wyraz w czynach straszliwych, piorunujących świat.

Dziwnym może się wydać, że, pozostając pod opieką Anny Bartell, mógł Emil Gluck uczyć się na studia. Powód był wszakże zupełnie prosty. Jej nie dbający o nic, wiecznie rozpróżniony mąż opuścił ją i, natrafiwszy na żyłę złotodajną w kopalniach Newady, powrócił do domu jako wielokrotny milioner. Anna Bartell nienawidziła siostrzeńca, wysłała go też niezwłocznie do odległej o setki mil Akademii w Farrington.

Nieśmiały i wrażliwy, samowolny i przez nikogo nie zrozumiany chłopiec czuł się w Farrington bardziej jeszcze osamotnionym niż gdziekolwiek. Nie wracał nigdy do domu na święta i wakacje jak inni koledzy. Łaził po pustym gmachu i po opuszczonych przez uczniów ogrodach i łąkach, czytał bardzo wiele, spędzając dnie całe na dworze lub przed kominkiem z nosem wiecznie utkwionym w stronicie książki. W tym właśnie czasie nadwreżył wzrok i zmuszony był nosić szkła, stanowiące tak wydatny rys na podobiznach jego, publikowanych w czasopismach z roku 1941.

Był uczniem niezwykłym. Pilność taka jak jego wystarczyłaby, aby zaprowadzić go bardzo daleko; wcale mu ona jednak nie była potrzebna. Dość mu było rzucić okiem na jakiś tekst, aby opanować go w zupełności. Wynikiem tego była olbrzymia suma dokonanych studiów, które umożliwiły mu nagromadzenie w ciągu półrocznego takiego zasobu wiedzy, jaki przeciętny uczeń zdobywa w ciągu sześciu co najmniej lat.

W 1909 roku, mając czternaście lat, był przygotowany — „bardziej niż gotów“ — jak wyraził się główny dyrektor Akademii — do wstąpienia na uniwersytet Yale albo Harvarda. Młody wiek był mu jedyną w tym kierunku przeszkodą i dlatego w 1909 roku znajdujemy go na liście nowicjuszków w klasycznym kolegium Bowdoinowskim. W 1913 został możliwie najzaszczytniej promowany i pojechał z profesorem Bradlonghem do Berkeley w Kalifornii. Jedynym przyjacielem, jakiego spotkał Gluck w całym swoim życiu, był profesor Bradlongh. Słabe płuca profesora zniewoliły go do przeniesienia się ze stanu Maine do Kalifornii, zwłaszcza że przenosiny umożliwiła katedra, jaką ofiarowano mu w uniwersytecie stanowym.

W ciągu całego 1914 roku przebywał Emil Gluck w Berkeley, uczęszczając na specjalne wykłady naukowe, ku końcowi tego roku dwa zgony zmieniły jego widoki na przyszłość i jego stosunek do świata. Śmierć profesora Bradlongha pozbawiła go jedynego przyjaciela, jakiego danym mu było posiadać w całym życiu, a śmierć Anny Bartell pozostawiła go bez środków utrzymania. Nienawidząc siostrzeńca do końca dni swoich, wydziedziczyła go zupełnie poza marną jakąś setką dolarów.

W następnym roku, jako dwudziestoletni młodzieniec, mianowany został Instrukтором chemii w uniwersytecie kalifornijskim. Lata upływały mu tutaj spokojnie. Spełniając sumiennie ciężką, dającą mu zarobek pracę, nie przestawał zarazem Emil uczyć się w dalszym ciągu i uzyskał jeszcze z pół tuzina stopni naukowych. Był, między innymi, doktorem socjologii, filozofii i nauk ścisłych, jakkolwiek w późniejszych latach znany był światu jedynie jako profesor Gluck.

Miał dwadzieścia siedem lat, kiedy po raz pierwszy głośno zaczęło robić się o nim w prasie dzięki wydanej przez niego książce: „Płeć i postęp“. Dzieło to pozostaje do dnia dzisiejszego podstawowym w dziedzinie historii i filozofii małżeństwa. Ogromny, liczący z górą siedemset stronic, tom opracowany jest z niezwykłą starannością i ścisłością, a zarazem ze zdumiewającą oryginalnością. Był on przeznaczony dla ludzi nauki, a nie dla wzburzenia ogółu. Ale autor w ostatnim rozdziale, poświęciwszy tej kwestii trzy wiersze jedynie, wspominał — w sposób hipotetyczny — o tym, że pożądane byłyby małżeństwa na próbę. Pisma podchwyciły od razu owe trzy wiersze, „przejechały się po nich zdrowo“, jak się wówczas mówiło potocznie, i ośmieszyły w oczach całego świata dwudziestosiedmioletniego profesora w okularach. Fotografowie czyhali na niego ze swoimi migawkami, reporterzy oblegali go, dokądkolwiek się ruszył, kluby kobiece w całym kraju ogłaszały rezolucje, potępiające jego i niemoralne teorie, a w Kalifornijskim Zgromadzeniu Ustawodawczym, podczas obrad w sprawie uposażenia rządowego dla uniwersytetu, postawiony został wniosek wydalenia Glucka pod groźbą cofnięcia uniwersytetowi dotacji. Oczywiście żaden z prześladowców profesora nie czytał jego książki: wystarczyła im przekręcona wzmianka gazetarska.

Od tej chwili datuje się nienawiść Emila Glucka do dziennikarzy. Za ich sprawą jego poważna i rzetelnie wartościowa praca sześciu lat stała się celem urągania tłumy. Do dnia śmierci swojej, ku wieczystemu ich żalowi, nigdy im tego nie przebaczył.

Gazety również ponoszą odpowiedzialność za następną katastrofę, jaka na niego spadła. W ciągu pięciu lat po ogłoszeniu drukiem pierwszej swojej książki milczał, a milczenie nie jest

bynajmniej dobre dla samotnego człowieka. Ze współczuciem podkreślić należy fatalne osamotnienie Glucka w ludnym uniwersytecie, faktem jest bowiem, że nie posiadał on w nim ani jednego przyjaciela i znikąd też nie doznawał dowodów sympatii. Jedyłą jego ucieczką pozostawały książki, czytał też i studiował bezmiernie.

W 1927 roku zaproszono go do wzięcia udziału w obradach Towarzystwa Przyjaciół Ludzkości w Emeryville. Nie ufam dostatecznie swojej pamięci i dzięki temu, pisząc te słowa, mam przed sobą egzemplarz uczonego jego referatu. Napisany jest obiektywnie ściśle naukowo i dodać należy, zachowawczo. W jednym wszakże miejscu — cytuję wiernie jego słowa — mówi o „przemysłowym i społecznym przewrocie, dokonywającym się w społeczeństwie“. Jeden z obecnych na posiedzeniu reporterów podchwycił wyraz „przewrót“, oddzielił go od tekstu i napisał ostre sprawozdanie, piętnując Emila Glucka jako anarchistę. W jednej chwili miano „Profesor Gluck — anarchista“ obiegło po drutach telegraficznych cały świat i zyskało odpowiednią „oprawę“ we wszystkich pismach w całym kraju.

O ile próbował odeprzeć poprzednie napaści prasy, o tyle teraz pozostał wobec nich zupełnie niemy. Gorycz przeżarła już do cna jego duszę. Fakultet wezwał go, aby stanął we własnej obronie, stanowczo jednak odmówił, wzbraniając się nadto przedstawienia kopii swojego referatu celem uratowania się od dymisji. Że zaś sam nie chciał się do niej podać, skreślono go z listy profesorów. Zaznaczyć należy, że ciało profesorskie z rektorem na czele działało w tym względzie pod wpływem nacisku ze strony rządu.

Prześladowany, wyszydzany i opacznie rozumiany samotnik nie próbował nawet rehabilitować się. Przez całe życie grzeszono przeciwko niemu, a on przez całe dotychczasowe życie nie zgrzeszył przeciwko nikomu. Ale przeznaczona mu czara goryczy nie była jeszcze pełna. Utraciwszy stanowisko i pozostając bez wszelkich dochodów, szukać musiał zajęcia. Pierwszą pracę otrzymał w fabryce metalurgicznej w San Francisco, gdzie okazał się bardzo zdolnym projektantem. Tutaj właśnie zdobył pierwszorzędą znajomość budowy okrętów wojennych. Odnaleźli go wszakże reporterzy i tutaj i obrobili odpowiednio. Wycofał się natychmiast i znalazł inne stanowisko. W miarę wszakże, jak reporterzy wygryzali go z szeregu posad, hartował się coraz skuteczniej w niereagowaniu na ich prześladowania.

Odporność tę zdobył już w zupełności w okresie otworzenia zakładu galwanoplastycznego przy ulicy Telegraficznej w Oakland. Był to mały warsztat, zatrudniający trzech dorosłych robotników i dwóch chłopców. Gluck sam pracował całymi dniami i wieczorami. Noc po nocy stwierdzał stojący na posterunku policjant, że nie opuszczał warsztatu przed pierwszą lub drugą w nocy. Wówczas właśnie udoskonalił działanie zapłonu silników spalinowych i dochody z opatentowania tego wynalazku rychło poważnie go wzbogaciły.

Otworzył swój zakład galwanoplastyczny wczesną wiosną 1928 roku i w tym samym też roku zbudziła się w jego sercu nieszczęśliwa miłość dla Ireny Tackley. Trudno sobie dzisiaj wyobrazić, aby człowiek, tak niezwykły jak Emil Gluck, mógł nie być też niepospolitym w miłości. Poza jego geniuszem, jego osamotnieniem i chorobliwym z natury usposobieniem, widać należy nadto pod uwagę, że był on zupełnym ignorantem na punkcie znajomości kobiet. Bez względu na wzbierające w nim żądze nie był wyćwiczony ani w znajdowaniu

zwykłego dla nich ujścia, ani w wypowiedaniu swoich uczuć; zaś nadmierna nieśmiałość czyniła jego zaloty zupełnie niezwykłymi.

Irena Tackley była przystojną, ale pustą, lekkomyślną istotą. Pracowała w owym czasie w małej cukierce naprzeciwko warsztatu Glucka. Zachodził często do jej sklepu, aby wpatrywać się w nią przy szklance lemoniady lub porcji lodów. Zdaje się, że dziewczyna nie czuła nic dla niego i jedynie bawiła się nim. "Taki dziwak" — mówiła o nim; czasem znów nazywała go wariatem i opowiadała, jak siedzi przy ladzie sklepowej i wpatruje się w nią spora okularów, czerwieniąc się i bełkocąc, ilekroć zwraca się do niego, i często uciekając pospiesznie w największym zmieszaniu.

Gluck przynosił jej najwspanialsze i zarazem najdziwniejsze podarunki: srebrną zastawę do herbaty, pierścionek brylantowy, futro, lornetę teatralną, wielotomową Historię Świata i bcykl motorowy cały posrebrzany we własnym jego warsztacie. W chwili, kiedy ofiarowywał jej ten prezent, wszedł do cukierni kochanek dziewczyny, kopnął z rozmachem koło i gniewnym tonem nakazał jej, aby zwróciła Gluckowi cały dziwaczny zbiór jego podarunków. Kochankiem tym był William Sherbourne, tępy, gruboszczęki prostak, zbożony na drobnych przedsiębiorstwach budowlanych. Gluck nie zrozumiał sytuacji. Szukał wyjaśnienia u dziewczyny, starając się o chwilę rozmowy z nią, kiedy wracała wieczorem do domu. Irena poskarżyła się Sherbournowi, który pewnej nocy porządnie obił współzawodnika. O sile i ciężkości pięści Sherbourn'a świadczą sprawozdania Pogotowia Czerwonego Krzyża, w którego szpitalu nałożono Gluckowi tej nocy pierwszy opatrunek i skąd nie był on w stanie przez tydzień jeszcze wyjść, będąc przez cały ten czas przykuty do łóżka. Gluck wciąż jeszcze nie rozumiał. Starał się w dalszym ciągu szukać wyjaśnienia u dziewczyny, W obawie przed napaścią Sherbourn'a prosił komendanta policji o pozwolenie noszenia rewolweru, spotkał się wszakże z odmową, a gazety, jak zawsze, wykorzystały fakt ten dla sensacji.

Na sześć dni przed ustaloną datą ślubu Ireny z Sherbournem popełniony został na dziewczynie mord. Było to w nocy z soboty na niedzielę. Zajęta była do późnego wieczora w cukierni i dopiero po jedenastej wyszła, mając w woreczku swoją pensję tygodniową. Pojechała tramwajem z alei San Pablo na Trzydziestą czwartą ulicę, gdzie wysiadła, aby przejść pieszo niewielki kawałek drogi do domu. Nazajutrz znaleziono ją uduszona na pustym placu.

Emil Gluck został natychmiast aresztowany. Żadne jego tłumaczenia nie mogły mu nic pomóc. Uwięziony został nie tylko na zasadzie okoliczności obciążających, ale na podstawie dowodów sfabrykowanych przez policję. Nie ma kwestii, że znaczna część dowodów przeciwko niemu została sfabrykowana. Świadcstwo kapitana Shetana było najwyraźniejszym krzywoprzysięstwem, ustalono bowiem znacznie później, że w tragiczną ową noc nie tylko nie znajdował się Gluck w pobliżu miejsca zbrodni, ale nie był wcale w mieście, gdyż uczestniczył w zgromadzeniu, odbywającym się w San Leandro.

Skazano go na dożywotnie więzienie w San Quentin, Gazetom i ogółowi publiczności było tego jednak mało; uważano, że wyrok ten był wykroczeniem przeciwko zasadzie sprawiedliwości i że należał mu się wyrok śmierci,

Emil Gluck odsiadywać zaczął więzienie od 17 kwietnia 1929 roku. Liczył wówczas trzydziesty rok życia. W ciągu trzech i pół lat, których znaczną część spędził w samotnej celi, miał aż nadto czasu na rozmyślanie nad niesprawiedliwością ludzka. W tym też okresie gorycz strawiła mu duszę do reszty i odtąd znenawidził całą siłą ród ludzki.

W ciągu tego samego okresu dokonał on nadto trzech Innych rzeczy: napisał słynny swój traktat: o „Moralności ludzkiej“, wybitną broszurę pod tytułem: „Zdrowy zbrodniarz“ oraz opracował potworny, straszliwy swój plan zemsty. Fakt pewien, mający miejsce w jego zakładzie galwanoplastycznym, podsunął mu myśl o jedynym narzędziu odwetu. Jak stwierdza sam w swoim zeznaniu, opracował podczas pobytu w więzieniu każdy szczegół, tak że bezpośrednio po uwolnieniu mógł przystąpić do urzeczywistnienia niesłychanych, zbrodniczych swoich zamierzeń.

Jego uwolnienie było sensacją dnia. Podległo ono niegodziwej, występnej zwłoce, wynikającej z bezdusznej biurokracji. W nocy 1 lutego 1932 roku Tim Haswell, człowiek pozostający stale pod dozorem policyjnym, został zraniony śmiertelnie przez pewnego obywatela z Piedmontu, na którego dom napadł w celu rabunku. Napastnik żył jeszcze trzy dni i przed śmiercią nie tylko przyznał się do zamordowania Ireny Tackley, ale dostarczył przekonywających na to dowodów. Bert Danniker, jeden ze skazańców, umierający na suchoty w więzieniu Folsom, wpłątany był w tę sprawę jako pomocnik. i on również złożył zgodne ze współnikiem zeznanie. Nam, ludziom dzisiejszym, niepojęty wydaje się partacki, powolny wymiar sprawiedliwości, stosowany przez poprzednie pokolenia. Już w lutym stwierdzona została niewinność Emila Glucka, uwolniono go jednak z więzienia dopiero w październiku tegoż roku. W ciągu ośmiu zatem miesięcy ten ciężko skrzywdzony człowiek zmuszony był do odbywania w dalszym ciągu niezasłużonej kary. Nie sprzyjało to bynajmniej słodczy charakteru i pogodzie usposobienia, możemy też łatwo wyobrazić sobie, jaka gorycz przepełniała serce jego podczas tych ponurych ośmiu miesięcy.

Powrócił do świata pod koniec 1932 roku, stając się jak zwykle przedmiotem napaści wszystkich gazet. Zamiast wyrażenia serdecznego żalu z powodu okrutnej pomyłki sprawiedliwości, prowadziły one w dalszym ciągu systematyczną na Glucka nagonkę. Jedna z gazet — „Wiadomości San Francisco“ — posunęła się dalej jeszcze: John Hartwell, jej redaktor, opracował nader pomysłową teorię, opartą na zeznaniach obu zbrodniarzy i wykazującą, że pomimo wszystko Gluck ponosił odpowiedzialność za zabicie Ireny Tackley. Hartwell został zabity. Sherbourne umarł również, zaś policjant Phillips postrzelony został w nogę i zwolniony ze swojego stanowiska.

Śmierć Hartwella pozostawała przez długi czas zagadką. Był w chwili zabójstwa sam jeden w biurze. Chłopiec na posyłki siedzący w przedpokoju usłyszał wystrzały rewolwerowe i wbiegł zastając Hartwella konającego —

na jego fotelu, W największe zdumienie wprawił policję nie tylko fakt, że Hartwell zastrzelony został kulą z własnego rewolweru, ale że rewolwer wypalił, spoczywając w szufladzie biurka. Kula przebiła na wskroś front szuflady i utkwiała w jego ciele. Policja odrzuciła przypuszczenie samobójstwa, zabójstwo wykluczone było również, jako supozycja zbyt niedorzeczna, i cała wina przypisana została nabojom bezdymnym Towarzystwa

„Eureka“. Samorzutny wybuch — tak objaśniła policja — a chemicy Towarzystwa nasłuchali się niemało podczas śledztwa.

Nie znany był natomiast policji szczegół, że w domu przeciwnym wynajęty przez Emila Glucka pokój nr 633 zajęty był też przez niego w momencie tajemniczej eksplozji Hartwellowego rewolweru.

W owym czasie nie podejrzewano żadnego związku pomiędzy śmiercią Hartwella i śmiercią Sherbourn. Ten ostatni zajmował w dalszym ciągu mieszkanie urządzone dla Ireny Tackley i pewnego styczniowego ranka 1933 roku znaleziono go martwego. Śledztwo ustaliło jako przyczynę śmierci samobójstwo, zastrzelony był bowiem z własnego rewolweru. Ciekawym wypadkiem, który wydarzył się tej nocy, było postrzelenie policjanta Phillipsa na trotuarze przed domem Sherbourn. Policjant dowłókł się do telefonu policyjnego i zadzwonił do Pogotowia Ratunkowego. Utrzymywał, że ktoś postrzelił go z tyłu w nogę. Noga tak fatalnie pogruchotana była trzema kulami kalibru 38, że zaistniała konieczność amputacji. Stwierdzenie wszakże, iż wystrzał spowodował własny jego rewolwer, wywołało głośny wybuch śmiechu oraz oskarżenie go o to, że musiał być pijany. Pomimo zaprzeczeń jego, jakoby miał mieć w ustach kroplę chociażby alkoholu, i uporczywych zapewnień, że rewolwer leżał spokojnie w bocznej kieszeni i że nie dotknął go palcem, zwolniony został ze stanowiska.

Wyznanie Emila Glucka, złożone w sześć lat później, oczyściło nieszczęśliwego policjanta z hańbiącego zarzutu, żyje też on do dnia dzisiejszego i cieszy się dobrym zdrowiem oraz pokaźną emeryturą, wypłacaną mu przez zarząd miasta.

Po załatwieniu się w ten sposób z bezpośrednimi swoimi nieprzyjaciółmi, poszukał teraz Emil Gluck szerszego pola działania, jakkolwiek wrogi jego stosunek do dziennikarzy i do policji w jednakowym wciąż trwał napięciu. Odsetki z jego wynalazku na ulepszone świece do silników spalinowych wzrosły znacznie podczas jego pobytu w więzieniu i z roku na rok przynosiły coraz większy dochód. Był niezależny, mógł odbywać, jakie tylko zapragnął podróże, a nade wszystko mógł nasycić swój bezgraniczny głód zemsty. Stał się maniakiem i anarchistą — nie filozoficznym anarchistą jedynie, lecz gwałtownym anarchistą czynnym. Możliwe, że wyraz ten nadużywany jest w opacznym znaczeniu i że należałoby raczej określić Glucka jako nihilistę lub anihilistę. Wiadomo, że nie był związany z żadną z grup terrorystycznych. Działał zupełnie samoistnie, szerzył wszakże działaniami swoimi tysiącokrotnie więcej grozy i spowodował tysiącokrotnie więcej zniszczenia aniżeli wszystkie grupy terrorystyczne razem wzięte.

Zasygnalizował swój wyjazd z Kalifornii wysadzeniem w powietrze fortu Masona. W zeznaniu swoim mówi o tym, jako o drobnym eksperymencie — chciał wypróbować tylko — jak się wyraził — swoją rękę. W ciągu ośmiu lat wędrował po świecie, szerząc tajemną grozę, powodując szkody w wysokości setek milionów dolarów i niwecząc niezliczone życia ludzkie. Jedynym dodatnim wynikiem straszliwych jego czynów było szerzenie zniszczenia również w szeregach samych terrorystów. Ilekroć dokonał nowego aktu zemsty, policja robiła zasadzkę na znajdujących się w pobliżu terrorystów i wielu z nich posyłano na stracenie. Siedemnastu stracono w samym tylko Rzymie po zamordowaniu króla włoskiego.

Najbardziej bodaj zdumiewającym dziełem jego ręki było zabicie króla i królowej Portugalii w dzień ich zaślubin. Przedsięwzięte zostały wszelkie możliwe środki ostrożności przeciwko terrorystom i cała droga z katedry do pałacu poprzez ulice Lizbony strzeżona była przez podwójne szeregi żołnierzy, zaś eskorta, złożona z dwustu kawalerzystów na koniach, otaczała powóz.

Nagle stała się rzecz niepojęta. Automatyczne karabinki kawalerzystów zaczęły strzelać, a równocześnie z nimi i karabiny stojących w bezpośrednim z kawalerią sąsiedztwie żołnierzy piechoty. W zamieszaniu i podnieceniu zwrócone były lufy eksplodujących karabinów we wszystkich kierunkach. Rzeź była przeraźliwa — konie, żołnierze, publiczność, król i królowa literalnie podziurawieni zostali kulami. Na domiar złego skomplikowały całą sprawę dwie bomby, ukrywane przez obecnych w tłumie terrorystów, które wybuchły w ich kieszeniach. Zamierzali oni rzucić je, o ile nadarzyłaby się sprzyjająca po temu sposobność. Ale któż mógł wiedzieć o tym? Straszliwe spustoszenie, spowodowane przez pękające bomby, spotęgowało niesamowity obraz grozy; uważano je za przemyślany szczegół ogólnego ataku.

Oszałamiającą wręcz i nie dającą się wytłumaczyć rzeczą było zachowanie się kawalerzystów z ich wybuchającymi karabinkami. Niepodobieństwem było wyobrazić sobie, aby i oni też mieli być w zмовie, a jednakże setki ludzi, a w ich liczbie król i królową, położyły ich właśnie kule. Z drugiej strony niemniej niezrozumiałym był fakt, że siedemdziesiąt procent samych tych kawalerzystów zostało zabitych lub poranionych. Niektórzy tłumaczyli to w ten sposób, że lojalni żołnierze piechoty, będący świadkami ataku na powóz królewski, zaczęli strzelać do zdrajców. Ani jednego wszakże faktu oczywistego, potwierdzającego przypuszczenie podobne, nie dało się wyciągnąć z ust tych, którzy pozostali przy życiu, jakkolwiek wielu poddano w tym celu najsroższym torturom. Wszyscy utrzymywali uparcie, że wcale nie strzelali ze swoich karabinków i że wypaliły one same przez się. Chemicy wyśmiali ich, dowodząc, że o ile byłoby nawet możliwe, aby pojedynczy nabój naładowany prochem bezdymnym mógł wystrzelić spontanicznie, bezwzględnie nieprawdopodobne jest i niemożliwe, aby wszystkie na danej przestrzeni naboje wypaliły od razu z nie tkniętej ręką ludzką broni.

W ten sposób nie zyskano żadnego wytłumaczenia zdumiewającego faktu. Powszechna opinia reszty świata twierdziła, że cała sprawa była wynikiem ślepej paniki, jaka ogarnęła nerwowych przedstawicieli rasy łaćńskiej i jaką wywołał w samej rzeczy wybuch dwóch bomb, rzuconych przez terrorystów. W związku z tym przypominano sobie też śmieszne spotkanie, na wiele lat przedtem, floty rosyjskiej z angielskimi łodziami rybackimi.

A tymczasem Emil Gluck śmiał się w kułak i szedł obraną przez siebie drogą. On jeden wiedział. Ale skąd mógł świat wiedzieć? Natknął się on po raz pierwszy na swoją tajemnicę w galwanoplastycznym warsztacie przy ulicy Telegraficznej w Oakland. Zdarzyło się w owym czasie, że stacja telegrafu bez. drutu została założona przez Towarzystwo Elektryczne Thurston w bliskim sąsiedztwie jego warsztatu. Niebawem jego kadź galwanoplastyczna przestała funkcjonować. Druty kadzi miały wiele uszkodzonych połączeń i, po bliższym zbadaniu, odnalazł Gluck uszkodzenia, wywołujące zwarcia na miejscu połączeń.

Uszkodzenia te, osłabiając opór, spowodowały przenikanie przez roztwór nadmiernej ilości prądu, doprowadzając roztwór do „wrzenia“, a tym samym niwecząc pracę.

Co było przyczyną? — zadał sobie Gluck pytanie. Rozumowanie jego było proste. Przed urządzeniem stacji telegrafu bez drutu kadzi działała sprawnie. Uszkodzenie jej wystąpiło dopiero po założeniu stacji. Ale w jaki sposób? Jeśli wyładowanie elektryczne może wywołać zwarcie poprzez trzy tysiące mil oceanu, oczywiście wywołać je też może na uszkodzonych połączeniach drutów kadzi wyładowanie elektryczne ze stacji odległej o czterysta stóp zaledwie.

W owym czasie nie myślał o tym Gluck więcej. Zmienił tylko druty swojej kadzi i w dalszym ciągu zajmował się galwanoplastyką. W następstwie wszakże, będąc już w więzieniu przypomniał sobie ów wypadek i błyskawicznie olśniło umysł jego pełne znaczenie tego faktu. Dostrzegł ukryte w nim tajemne narzędzie zamierzonej zemsty nad światem. Jego odkrycie, zatracone wraz z jego śmiercią, polegało na zdobyciu kontroli nad kierunkiem i miejscem wyładowania prądu elektrycznego. W owym czasie stanowiło ono nie rozwiązany problemat telegrafu bez drutu — jak stanowi do dnia dzisiejszego — ale Emil Gluck w swojej celi więziennej opanował to zagadnienie. I po uwolnieniu zastosował je. Było ono dość proste wobec zdolności kierowania prądem, jaką posiadał, a dzięki niej możliwości wprowadzenia iskry do prochowni fortu, do wnętrza okrętu wojennego, do magazynu rewolweru. I nie tylko mógł w ten sposób wywoływać wybuch prochu na odległość, lecz mógł zarazem wzniecać pożary. Wielki pożar Bostonu był jego dziełem — zupełnie przypadkowym zresztą, jak stwierdził w swoim zeznaniu, dodając, że byt to przyjemny przypadek i że nigdy nie miał powodu, aby go żałować.

Straszliwa wojna niemiecko-amerykańska, z utratą 800 000 ludzi i pochłonięciem nieobliczalnych nieomal środków, wywołana była również przez niego. Przypomnieć należy, że w roku 1939 panowały z powodu sprawy Pickarda napięte stosunki pomiędzy obu krajami. Niemcy, jakkolwiek pokrzywdzone, nie dążyły do wojny, posłały więc na znak pokoju następcę tronu z siedmioma okrętami wojennymi w odwiedziny przyjacielskie do Stanów Zjednoczonych. W nocy 15 lutego stały wszystkie te okręty na kotwicy na rzece Hudson naprzeciwko Nowego Jorku. W tę samą też noc był Emil Gluck sam z całym swoim aparatem w szalupie na otwartym morzu. Szalupę tę — jak stwierdzono w następstwie, kupił od Towarzystwa „Barka“, zaś znaczną część aparatów użytych owej nocy nabył od Elektrycznych Warsztatów „Kolumbia“. Wówczas wszakże nie wiadano o tym. Wiadomo było jedynie, że nastąpiło wysadzenie w powietrze wszystkich owych siedmiu okrętów wojennych, jednego po drugim, w regularnych, czterominutowych odstępach. Zginęło dziewięćdziesiąt procent załogi z następcą tronu na czele.

O wiele lat wcześniej wysadzony został w powietrze w porcie Hawana amerykański okręt wojenny Maine, co spowodowało bezpośredni wybuch wojny z Hiszpanią, jakkolwiek zawsze istniała uzasadniona wątpliwość, czy to wysadzenie w powietrze było dziełem zamachu czy przypadku. Ale przypadek nie mógł wytłumaczyć wysadzenia w powietrze siedmiu okrętów wojennych na Hudsonie w czterominutowych regularnych odstępach. Niemcy przypuszczali, że dokonała tego łódź podwodna i niezwłocznie wypowiedziały wojnę. Dopiero w sześć

miesiące po wyznaniu Glucka zwróciły one Stanom Zjednoczonym Filipiny i Wyspy Hawajskie.

Tymczasem Emil Gluck, zły człowiek i arcywróg ludzkości, w dalszym ciągu pustoszył świat wichrem zniszczenia. Nie pozostawiał po sobie śladów. Ze ścisłą dokładnością naukową oczyszczał je zawsze starannie. Metoda jego postępowania polegała zawsze na wynajmowaniu domu lub pokoju i ustawiania w nim w tajemnicy swojego aparatu, tak udoskonalonego i uproszczonego do owego czasu, że zajmował bardzo niewiele miejsca. Po dokonaniu swojego zamiaru starannie usuwał aparat i w ten sposób mógł bezpiecznie liczyć na długotrwałą bezkarność potwornych swoich zbrodni.

Epidemia postrzeżeń wśród policjantów nowojorskich była rzeczą zdumiewającą. Stała się ona jedną z tajemniczych klęsk owego czasu. W ciągu niespełna dwóch tygodni z górą stu policjantów postrzelonych zostało w nogi kulami z własnych rewolwerów. Inspektor Jones nie rozwiązał tej zagadki, jednakże pomysł jego wytracił w końcu Gluckowi broń z ręki. Za jego poradą przestali policjanci nosić rewolwery i odtąd przypadkowe takie postrzelenia nie zdarzały się już ani razu.

Wczesną wiosną 1940 roku zniszczył Gluck całą flotę, zgromadzoną w warsztatach okrętowych Mare Island. Z pokoju wynajętego w Vallejo skierował promień swojego aparatu poprzez cieśninę Vallejo ku wyspie. Najpierw posłał iskry swoje na okręt wojenny Maryland, stojący w doku jednego ze składów min. Na przednim jego pokładzie, na wielkiej platformie z desek, spoczywała przeszło setka min, przeznaczonych na obronę Żółtych Wrót. Każda z nich zdolna była zniweczyć tuzin okrętów wojennych, a było tych min z górą sto. Zburzenie było straszliwe, ale dla Glucka stanowiło ono jedynie wstęp do działania.

Skierował błysk swojego aparatu wzdłuż wybrzeża Mare Island, wysadzając w powietrze pięć torpedowców, przystań oraz wielką prochownię na wschodnim krańcu wyspy. Kierując się ponownie na zachód, natrafiając na pojedyncze, samotnie stojące składy na wzniesieniu nieco z dala od wybrzeża, wysadził w powietrze trzy krążowniki oraz okręty wojenne: Oregon, Delaware, New Hampshire i Floridę. Ten ostatni zdążył właśnie wejść do suchego doku i wspaniały dok zburzony został równocześnie z wysadzonym w powietrze okrętem.

Katastrofa była przeraźliwa i dreszcz grozy wstrząsnął całym krajem. Było to wszakże drobiazgiem w porównaniu z tym, co miało nastąpić.

Ku końcowi tego samego roku oczyścił Gluck do cna wybrzeża Atlantyku od stanu Maine do Florydy. Nic nie uszło cało. Forty, miny, wszelkiego rodzaju obrona wybrzeża, stacje torpedowców, składy — wszystko wyleciało w powietrze.

W trzy miesiące później zmiotł Gluck północne wybrzeże Morza Śródziemnego od Gibraltaru do Grecji w ten sam zdumiewający sposób. Jęk rozpacz rozległ się ze wszystkich krajów. Jasne było, że wszystkim tym kierują ludzkie ręce i tak samo jasne było, dzięki bezstronności Emila Glucka, że dziełem zniszczenia nie kierował żaden poszczególny naród. Jedno tylko było wyraźne, że, bez względu na to, kto był twórcą tych klęsk straszliwych, stanowił on najsroższą dla świata groźbę.

Żaden naród nie był zabezpieczony przeciwko jego potędze. Nie było obrony przed nieznany a wszechpotężnym wrogiem. Obrona wojskowa była daremna — nie, nie tylko była daremna, lecz tkwił w niej właściwy rdzeń niebezpieczeństwa. W ciągu dwunastu miesięcy zaprzestano fabrykowania prochu oraz wycofano wszystkich żołnierzy i marynarzy ze wszystkich twierdz, fortów i statków wojennych. Rozważano nawet zupełnie poważnie, na zgromadzeniu Konwentu Państw, który obradował w owym czasie w Hadze, sprawę powszechnego rozbrojenia.

Wówczas to Silas Bannermann, tajny agent polityczny na usługach rządu Stanów Zjednoczonych, zyskał sławę wszechświatową ujęciem Emila Glucka.

Zrazu wyśmiano Bannermanna, tak dobrze jednak przygotował on całą sprawę, że zaledwie upłynęło parę tygodni, a zdołał przekonać najzagorzalszych nawet niedowiarków o winie Emila Glucka. Jedyłą wszakże rzeczą, której nie umiał Silas Bannermann nigdy wytłumaczyć, dla własnej chociażby satysfakcji, było stwierdzenie pierwszego momentu, w którym przyszło mu na myśl połączenie osoby Glucka z potwornymi zbrodniami.

Prawda, że Bannermann bawił w Vallejo w tajnych sprawach urzędowych w czasie zburzenia wyspy Mare, prawda też, że na ulicach Vallejo wskazano mu Emila Glucka jako osobliwego dziwaka; nie wywarło to na nim wówczas jednak żadnego wrażenia. Znacznie później dopiero, bawiąc na wakacjach w Górach Skalistych i czytając pierwsze ogłoszone raporty o doszczętnym zniszczeniu wybrzeża Atlantyckiego, przypomniał sobie nagle Bannermann o Glucku. I w tej samej chwili olśniła go, niby mgnieniem błyskawicy, myśl o możliwym związku pomiędzy Gluckiem a dziełem zburzenia. Była to jedynie hipoteza, ale wystarczała. Jej powstanie było przebłyskiem genialności, aktem podświadomego myślenia — zatem rzeczą, z której tak samo niepodobna było zdać sobie sprawy, jak na przykład ze zrodzenia się w mózgu Newtona zasady ciężenia.

Reszta poszła już łatwo. Gdzie przebywał Gluck w chwili zburzenia całego wybrzeża Atlantyku? — brzmiało pierwsze pytanie, sformułowane przez Bannermanna. Zażądał informacji w tym przedmiocie. Bardzo prędko udało mu się stwierdzić, że ku końcowi 1940 roku wędrował Gluck w górę i w dół wybrzeża atlantyckiego. Stwierdził również, że Gluck przebywał w Nowym Jorku podczas epidemii ranienia policjantów w nogi kulami z własnych rewolwerów.

Gdzie bawi Gluck obecnie? — brzmiało następne pytanie Bannermanna.

I, jak gdyby w odpowiedzi na to, przyszła wieść o całkowitym zburzeniu wybrzeża Morza Śródziemnego. Gluck odpłynął przed miesiącem do Europy, jak dowiedział się o tym Bannermann. Zbyteczną było dla niego rzeczą osobiste udawanie się za ocean. Za pośrednictwem telegramów i przy współudziale tajnych agentów europejskich śledził on posuwanie się Glucka krok za krokiem wzdłuż całego wybrzeża Morza Śródziemnego i przekonał się, że w każdym wypadku zbiegało się ono z wysadzeniem w powietrze obrony nadbrzeżnej i okrętów. Dowiedział się też, że Gluck wsiadł na Plutonika, okręt linii Zielonej Gwiazdy, odpływający do Stanów Zjednoczonych.

Sprawa cała gotowa była najzupełniej w umyśle Bannermanna, bowiem przez ten czas zdążył opracować i zestawić wszystkie jej szczegóły. Dopomagał mu w tym bardzo zręcznie operator pracujący dla Towarzystwa Telegrafu bez Drutu systemu Wooda. Kiedy Plutonik zbliżał się do Sandy Hook, wysłał mu Bannermann naprzeciw statek rządowy i Emil Gluck został uwięziony.

Proces i zeznanie nastąpiły bezpośrednio po tym. W zeznaniach wyraził Gluck jeden, jedyny żal, mianowicie, że nie zdążył działać szybciej. Gdyby — jak powiedział — mógł przypuszczać, że zostanie kiedykolwiek wykryty, byłby „pracował“ daleko energiczniej i pośpieszniej i spowodowałby tysiącokrotnie więcej zniszczenia. Tajemnica jego zesłała wraz z nim do grobu, jakkolwiek wiadomo teraz, że rząd francuski starał się zyskać dostęp do niego i ofiarował mu miliard franków za jego wynalazek, przy którego pomocy mógł kierować wyładowaniem elektryczności i ściśle ustalić miejsce jego działania. „Co? — zawołał Gluck — sprzedać to, co umożliwiłoby wam ujarzmienie i prześladowanie cierpiącej ludzkości?!“

Ministerstwa wojny wszystkich krajów nie zaprzestawały badań i prób w tajnych laboratoriach, nie udało im się wszakże, do obecnej chwili przynajmniej, najsłabszego bodaj rzucić światła na całe zagadnienie i natrafić na najdrobniejszy bodaj ślad tajemnicy.

Emil Gluck stracony został 4 grudnia 1941 roku. Zginął w ten sposób, mając 46 lat, jeden z największych i najniezwyklejszych zarazem geniuszów świata, człowiek o zdumiewającym intelekcie, którego potęga wszelako, zamiast działania w kierunku dobra, tak była znieprawiona i spaczona, że uczyniła z niego najbardziej zdumiewającego, najpotworniejszego zbrodniarza.